EPOKA

ROK IV. Warszawa, 5 września 1937 r. Rok IV, Nr. 17 (96)

Treść numeru:

Niewstrzymany pochód

Kiedy z górą rok temu wznawialiśmy „Epokę" była to pora najmniej przychylna dla posiewu idei demokratycznych, był to bowiem okres najsilniejszych podmuchów totalizmu, nadciągającego na Europę groźną nawałą.

Hasła i zasady demokracji, odwołujące się przede wszystkim do rozumu i uczuć człowieka myślącego — nie próbowały wśród ogłuszających wrzasków totalizmu przekrzyczeć nawoływań reakcji, spekulującej na przesądach, na niskich instynktach i namiętnościach ludzkich. Umiejętna, metodyczna i sugiestywna propaganda totalizmu stwarzała pozory jego wielkiej dynamiki i możliwości naturalnej ekspansji, oszałamiając ciemnogłowie i imponując żywiołom chwiejnym i małodusznym. Tłumy uginające się pod ciosami kryzysu poddawały się dobrowolnie garści tyranów, popędzających coraz liczniejsze zastępy niewolników.

W tych warunkach hasła demokracji stawały się niepopularne, pogardzane i poniżane przez jednych, przez innych zaś uważane w najlepszym razie za czcigodny wprawdzie, ale żałosny przeżytek niedawnej przeszłości.

Hitleryzm, wywodząc się od faszyzmu, rozszerzył orbitę oddziaływania nacjonalistycznej dyktatury, ale jako ruch barbarzyński i wsteczny, kierowany przez butnych parweniuszów i uzurpatorów, był jednakże pogardliwie i wyniośle traktowany przez narody przodujące, które nie przestają się rządzić prawem i zasadami wolności.

Jako warunek dalszego rozwoju hitleryzmu i jego powagi wyrosła potrzeba uzyskania sankcji moralnej ze strony narodów, dzierżących prymat w areopagu cywilizowanego świata. Nie mogąc na nim wymusić uznania, hitleryzm zapragnął dowieść przez wdarcie się do życia Anglii, Francji, Belgii i t. d. oraz przez ideowe tam podboje, że bynajmniej istota jego nie jest moralnie odrażająca i nie wywodzi się z zatęchłych mroków średniowiecza, lecz przeciwnie, jest nowoczesna i odpowiada duchowi społeczeństw cywilizowanych.

Powstały więc ogniska zapalne hitleryzmu we Francji pod egidą płk. De la Rocque'a, w Anglii — Mosley'a, w Belgii — Degrelle'a, w Hiszpanii — gen. Franco, na Węgrzech — hrabiego Festecs'iego, dalej w Austrii, Czechosłowacji, Rumunii i t. d.

I u nas jak chmura nisko nawisła, przesłaniając światło, posuwał się hitleryzm i przenikał coraz silniej do życia polskiego, trafiając na grunt podatny, przygotowywany od lat przez endecję. Czyż trzeba

przypominać i na przykładach dowodzić, w jakim powinowactwie z hitleryzmem pozostają liczne akty endeckiego bezprawia i gwałtów, pozostaje zarzewie walk narodowościowych i wyznaniowych, pogromy żydowskie, tumulty uniwersyteckie, wszczynanie sprawy dyssydentów, szczucie przeciwko obrońcom swobody myśli, zasad wolności, człowieczeństwa i t. d.?

Szybkie obniżanie się życia polskiego do poziomu niewiadomszczyzny zmniejszało pozornie widoki na powrót do prawa i na zapanowanie demokracji w Polsce. W rzeczywistości jednak cały świat pracy polskiej, mając poczucie swojej siły i samowiedzę swojej roli w kraju, nie uległ przez chwilę panice i nie pozwolił złudzić się faszystowskiej pianie, spływającej do nas na ponurej obcej fali. Dla umysłów niezależnych i krytycznych było jasne, że obłęd nacjonalistyczny osiąga zarówno w świecie, jak i u nas swój punkt szczytowy i że wkrótce rozpocznie się odwrót od bożków przemocy, tyranii i pieniądza.

Od pierwszych dni swego odrodzenia „Epoka" będąc wówczas w Warszawie, obok „Robotnika" i prasy ludowej, jedyną trybuną demokracji, uzasadniała wytrwale pogląd, że w poszukiwaniu i wskazywaniu dróg przyszłości, Polska nie ma potrzeby zapożyczać się u sąsiadów, i że czas już położyć tamę tej ponurej niesławie, będącej jakby już ostatnim refleksem zaborów, iż na obszarach naszego życia ścierają się ze sobą tylko cudze idee, obce myśli i wzory. Podnosiliśmy nieustannie, że krew demokracji polskiej jest dostatecznie czerwona: nie potrzebuje obcych zastrzyków. „Czując się spadkobierczynią tradycji ideowych od Worcella i Lelewela aż do Limanowskiego i Daszyńskiego, demokracja polska wciąż jest gotowa do wielkich zadań dziejowych, powinna jak najprędzej się zespolić, nauczyć się nie tylko bronić, ale i atakować front faszystowsko-hitlerowskiej reakcji", że „jedynie w walce solidarnej sił demokratycznych dojść możemy do syntezy, którą dyktuje logika dzisiejszego życia polskiego, do pozytywnej konstrukcji demokracji". Tylko nie demokracji z czasów Trąmpczyńskich i Lutosławskich z jej beztreściwością gospodarczą i chaosem politycznym. Nie będąc bowiem emanacją życia kraju, nie mając określonej treści społecznej ani dążeń, zmierzających do przebudowy ustroju gospodarczego i wyzwolenia Polski z więzów oligarchii pieniężnej i obszarniczej, była ona demokracją haseł i postulatów, nie zaś demokracją walki o nowe formy życia. I dlatego nie wytrzymała uderzenia pierwszego zamachu.

Dziś jako pozytywny skutek instynktowej reakcji społeczeństwa na uroszczenia wstecznictwa odbywa się konsolidacja gromady chłopskiej, rzesz robotniczych i poważnego odłamu inteligencji pracującej, stanowiąc wspólnie olbrzymią większość narodu, spojoną świadomą wolą i nastawioną w kierunku gruntownego przeobrażenia życia polskiego. O tę opokę demokracji rozpryśnie się totalistyczna piana i nastąpi odpływ faszyzmu, podobnie jak to się zaczęło w demokratycznych krajach Zachodu. Tam przykład Włoch, które pokazały, że faszyzm to głód i wojna, przykład Niemiec, że hitleryzm to głód i wyścig zbrojeń, zdecydowały o klęsce płk. De la Rocque'a we Francji, Degrelle'a w Belgii, Mosley'a w Anglii, hr. Festecs'iego na Węgrzech, gdzie pod rządami Daranyi'ego odbywa się powrót do prawa, nie wyłączając Rumunii, gdzie demokracja znajduje się w przededniu objęcia rządów.

Z dnia na dzień

SZYDŁO Z POD FIOLETU.

A więc nie omyliliśmy się!

Wspominając w zeszłym numerze Epoki o rozpętanej przeciw Sieroszewskiemu kampanii, z powodu zarzuconych mu plagiatów wyraziliśmy przypuszczenie, że kampania ta stała się ekspedycją karną, podjętą przeciw niesfornemu prezesowi Polskiej Akademii Literatury za jego dość agresywne stanowisko w słynnym „konflikcie wawelskim" wobec księcia - infułata Sapiehy.

Dziś widzimy, że domysł nasz był aż nadto usprawiedliwiony. Aby się o tym przekonać, nie trzeba głębokich dowodów. Wystarcza drobny, lecz jakże wymowny wierszyk, zamieszczony na ten temat w katowickim „Zwrocie". Wierszyk jest istotnie zjadliwy, a jedna z jego strof brzmi, jak następuje:

...W akademii na obradach
wszyscy patrzą się z respektem,
gdy przemawia, gdy wykłada
rusko - polskim cud - dialektem.
Do biskupa mowę kropi,
tnie go słowem, gdzie popadło...

Tak, tak! Biskupa uciął słowem, i tego mu nie darują. Dopóki ciął tylko sądy przysięgłych, lub mieszkańców Berezy, mógł chadzać w aureoli oryginalnego mówcy i pisarza. Wylazło szydło z pod fioletów biskupich. Teraz, jesteśmy pewni, prezes P. A. L. pozostanie już nieuleczalnym plagiatorem. Chyba, że arcybiskupowi krakowskiemu zaofiaruje... wawrzyn literacki.

PERFIDNY KAROL.

Karol Irzykowski jest jednym z najlojalniejszych członków Polskiej Akademii Literatury. Rzec można, że gwiazdę akademicką nosi on nie na fraku, ale wprost na sercu. Do kompletu zaś lojalności wiernego członka Akademii należy, co najmniej, szacunek dla jej prezesa, Wacława Sieroszewskiego.

Otóż ten ostatni jest właśnie przedmiotem brutalnych ataków (wciąż te plagiaty!) na łamach tygodnika „Prosto z Mostu", tego samego tygodnika, który stał się ostatnio główną trybuną Irzykowskiego.

Perfidny akademik!

A może przezorny polityk?

Tak czy inaczej, wstępując w progi redakcji „Prosto z Mostu" akademik Irzykowski szacunek dla swego prezesa zostawia wraz z kapeluszem — w przedpokoju.

HISTORIA OGLĄDANA Z BALKONU.

— „Obserwowaliśmy pochód Stronnictwa Narodowego (15. VIII.) w Warszawie z balkonu redakcyjnego, wychodzącego na Nowy Świat..."

Któż to w ten sposób zasiadł w loży, aby przyzwoitym oddzieliwszy się dystansem od endeckiego pospólstwa, z góry spoglądać na jego wąsate szeregi?

Czy to jakiś magnat — arystokrata gardzący ulicą? A może otwarty przeciwnik endecji oraz jej faszystowskich koszul?

Nie. To — Stanisław Piasecki, sztandarowy przedstawiciel endecji, pomazaniec Wincentego Lutosławskiego, redaktor „Prosto z Mostu", niegdyś współpracownik „Jutra", całą duszą oddany ruchowi endeckiemu.

Dlaczego więc nie zstąpił z balkonu, nie wmieszał się w szeregi, nie stanął na ich czele? Czy uważał ten pochód za zbyt ściśle partyjny? Czy osądził, że w

jego ordynku będzie za ciasno jego fidiaszowej piersi?

Ale skąd znowu?

Sam temu zaprzecza, gdy twierdzi, że pochód endeckich „koszul" przez Nowy Świat był dlań zjawiskiem radosnym. „Trzeba mieć bardzo ciasny łeb" — tłumaczy — żeby w takim pochodzie widzieć tylko przedsiębiorstwo partyjne.

Tak, rzeczywiście. Trzeba mieć bardzo ciasny łeb, trzeba mieć bardzo małe serce, aby zawsze, w każdej chwili, nawet w dniu proklamowanym przez się jako święto narodowe, zamykać się w roli widza, obserwującego ludzi z balkonu. Uda się widowisko, czy nie uda? Jeśli się nie uda, to zawsze będzie można w porę się wycofać.

A przecież Piasecki nie jest wśród swej partii wyjątkiem. Endecy nigdy nie byli inni. Zawsze rezerwowali sobie bezpieczne miejsca w loży widzów. Tacy już są!

Pod tym względem p. Piasecki na balkonie jest postacią reprezentatywną. Przyjaciele powinni go odlać w bronzie i nie zdejmować z balkonu.

CO MÓWI STANISŁAW MIŁKOWSKI?

— Czy ruch ludowy — pyta Stanisław Miłkowski — („Młoda Myśl Ludowa") ma jakieś punkty styczne z ruchem „narodowym" zwanym popularnie endeckim?

Na tak jasno i stanowczo postawione pytanie otrzymujemy równie jasną i kategoryczną odpowiedź.

— Nie tylko — stwierdza Miłkowski — nie ma między nimi nic wspólnego, ale są to ruchy najbardziej sobie przeciwstawne, wzajem siebie wyłączające.

Ruch ludowy, jako wyzwoleńczy ruch warstwy chłopskiej ma wyraźnie charakter klasowy; ruch zaś „narodowy" nie uznaje ruchów klasowych i głosi zasadę ich zlikwidowania z tą chwilą, kiedy tylko będzie miał ku temu możliwość.

Moment zwycięstwa ruchu „narodowego" w Polsce byłby jednocześnie — stwierdza słusznie Miłkowski — końcem samodzielnego ruchu ludowego.

W dalszych założeniach ideologicznych widzimy również tylko przeciwieństwa. Ruch ludowy ideologicznie stoi na gruncie demokracji jak najszerzej pojętej, gdy tymczasem endecja jest najbardziej zdecydowanym ośrodkiem faszystowskich dążeń i kultu dla metod hitlerowskich. Wyraźnie wyznaje zasadę hierarchii czyli podporządkowania się; oczywiście na dole tej drabiny, tym który ma tylko słuchać i wykonywać rozkazy idące od góry, byłby chłop i robotnik.

Endecja głosi szumnie hasła rewolucji narodowej, ale rewolucja ta ma polegać na zniszczeniu ruchów klasowych a więc chłopskiego i robotniczego i — zabezpieczyć interesy warstw posiadających, czyli innymi słowy ugruntować nędzę i wyzysk warstw najbiedniejszych. Dla mas, jako przynętę rzuca się Żyda, ale każdy zorientowany wie o tym, że jest to konik, na którym jedzie się po władzę, aby później przeprowadzić swój istotny program społeczno - polityczny.

Tak mówi Stanisław Miłkowski, i dobrze się stało, że te jasne, mądre słowa wyrzeczone zostały z poważnej trybuny przez poważnego działacza ruchu młodoludowego.

Endecja, istotnie, ubiera się w hasła narodowo - antysemickie jedynie w tym celu, aby na plecach otumanionej masy wyjechać ku władzy; zagarnąwszy zaś władzę, użyć jej na wdeptanie w ziemię interesów chłopa a także pracowników

Mógłby ktoś spytać:

ENDEK RYZYKANTEM NIE JEST, ALE...

Mógłby ktoś spytać:

— Czy należy się lękać endecji i jej faszystowskich zapędów? Wszak typ endeka to jest taki właśnie Mossdorff, który w chwili niebezpieczeństwa pierwszy daje nura z pola odpowiedzialności; taki właśnie Piasecki, który woli patrzeć z balkonu na pochód swych współpartyjników nawet w dniu ich święta. Endecja, jak wykazał cały jej stosunek do Piłsudskiego, to — małoduszność „zaplutego karła"; to — uosobione pasorzytnictwo. A czy pasorzyt zdobędzie się na ryzyko niezbędne w walce o władzę, zwłaszcza o władzę na gruzach demokracji?

Że endecja nie jest ryzykantką — odpowiemy — to rzecz wiadoma. Jeśli popełnia czyny szaleńcze — w stylu Niewiadomskich i Doboszyńskich — to zazwyczaj powoduje się fałszywą rachubą na bezkarność. W zasadzie niebezpieczeństwo raczej odstręcza ją, niż kusi. Endecy gotowi są narazić się tylko wtenczas, gdy z góry wiedzą, że im się nic nie stanie. Tak, naprzykład, studenci — endecy zablokowali się na jednej z wyższych uczelni i grozili strajkiem głodowym, ale pod warunkiem, że ich mamusie będą buntowników zaopatrywały w ciastka z kremem. Tak, endek nie jest ryzykantem. Ale w chwili obecnej endek jest w sytuacji uprzywilejowanej. Jest oblubieńcem, o którego rękę ubiega się posażna a bezdzietna wdowa. Endek nie potrzebuje dzisiaj sam karku nadstawiać. Kasztany z ognia wyciągają dlań inni. On stoi sobie bezpiecznie na balkonie i tylko szczuje, szczuje, szczuje...

Szczuje na Miłkowskich i Reków, na Dembińskich i Jędrychowskich, ba!... szczuje nawet na niedogodnych dla siebie ministrów, jak Poniatowski lub Kościałkowski. Chodzi mu o to, aby wszystko, co nie jest materiałem dla faszyzmu, powlec jadem nienawiści, zadekretować jako antypolskie i antypaństwowe, i dla dekretu tego zjednać choćby niektóre wpływowe czynniki systemu rządzącego.

Czy można powiedzieć, że to się mu nie udaje?

I na tym właśnie, na tej penetracji wpływów endeckich do wnętrza naszego aparatu państwowego polega niebezpieczeństwo, zagrażające w chwili obecnej Państwu i Narodowi polskiemu.

Józef Piłsudski, aby wskrzesić niepodległość, przełamać musiał w społeczeństwie przewagę endecji i przełamał ją istotnie dzięki oparciu się, przynajmniej w pierwszym okresie swej działalności, o zastępy robotnicze i chłopskie.

Powracający tryumf i odwet endecji, nadwątlając jego dzieło, ugodziłby prędzej czy później z fatalną siłą w ostoje odrodzonego Państwa.

UŚCISKI POLONOFILIZMU.

Prasa codzienna przepełniona jest opisami samowoli i gwałtów, stosowanych przez Gestapo na Śląsku niemieckim, na Warmii i Mazurach względem polskości.

Złośliwa zajadłość władz zwróciła się nawet przeciwko tamtejszym bibliotekom i czytelniom, utrzymywanym przez Związek Polaków w Niemczech. Policja hitlerowska ustala i określa tam, niczym w bibliotekach więziennych, co wolno czytać Polakom i co według pojęć Gestapo jest prawomyślne, wszystko zaś co mogłoby temu przeczyć konfiskuje bez pardonu.

Ostatnio w Szturmie na Powiślu i w Podstolinie urzędnicy policyjni zabrali z bibliotek polskich książki Sieroszewskiego, Rydla, Wańkowicza, Koniecznego, Skałkowskiego i innych, ale jeszcze większa nienawiść tych przewodników i dysponentów literatury skupiła się na Mickiewiczu i na niektórych utworach Sienkiewicza.

Te akty przemocy, pomnożone przez aresztowania Polaków, przez rewizje w mieszkaniach i siedzibach kulturalnych instytucji polskich, przez zmuszanie dzieci polskich do pobierania nauki w szkołach niemieckich i t. d., — żywo przypominają osławione praktyki hakaty z dobrych, dawnych czasów.

Jakże więc ten obraz ponury pogodzić z idyllą, naświetlaną przez germanofilów z wileńskiego „Słowa", którzy nie przestają zapewniać nas o tym, że „zdyscyplinowany naród niemiecki" usłuchał „rozkazu" Hitlera, zalecającego „sympatie do Polski" i że w Niemczech dzisiejszych rozpętał się „szał polonofilizmu"!

Dziwni są ci Polacy zakordonowi! Zamiast poddać się urokowi hitlerowskiej opieki i miłości matczynej, zamiast w swoich domostwach spokojnie zasypiać

z uczuciem szczęścia, wyczarowanego z mackiewiczowskiej kołysanki, — krzyczą na całą Polskę i jęczą z bólu w „szaleńczych" uściskach „polonofilizmu"!

ORĘDOWNICY KRATY WIĘZIENNEJ

Różni skrybenci, wyzuci z instynktu wolności, nie przestają miotać się i złorzeczyć wszystkim tym, którzy podjęli obronę Henryka Dembińskiego i kolegów. Najwięcej obeszło ich i do żywego poruszyło żądanie „Epoki", żeby do więźniów wileńskich stosować przynajmniej tę samą miarę i to samo prawo moralne, które zastosowane zostało do b. więźnia na Ś-tym Krzyżu.

Cóż może być prostszego dla ludzi dobrej woli, jak tylko zająć postawę możliwie objektywną i rozumną: jeżeli jest prawdą, że Dembiński i inni zawinili, to niech o tym orzeka sąd.

Ale w imię czego przed zapadnięcem wyroku, a nawet przed sformułowaniem aktu oskarżenia, miota się na głowy wybitnych i utalentowanych pisarzy ciężkie i uwłaczające zarzuty, uprzedzające wymiar sprawiedliwości?

Zamiast więc zająć stanowisko objektywne, dostępne przecież dla każdego, i również dla sprawiedliwych przeciwników Dembińskiego, — po różnych podwórkach prasowych rozpętano całe piekło kalumniatorstwa i szczucia przeciwko więźniom wileńskim.

Zdawałoby się, że instynkt wolności jest rzeczą przyrodzoną i niezniszczalną, a szczególnie rozwiniętą i zakorzenioną w psychice polskiej. Rozwiniętą i spotęgowaną dziedzicznie w ogniu zmagań o niepodległość. Zdawałoby się też, że przede wszystkim nasze pokolenie, które skruszyło kajdany Polski, przepojone być powinno uczuciem i umiłowaniem wolności.

Tymczasem ostatnimi czasy zauważyć można całe zastępy ludzi, którzy u nas wzorem krajów dyktatury usiłują tworzyć atmosferę więzienną. Ludzi, którzy bądź zatracili instynkt wolności, bądź tłumią go w sobie lub wyzbywają się dla celów i korzyści praktycznych. I oni to właśnie w wielu ośrodkach życia polskiego stają się dobrowolnymi katami i prześladowcami wolności.

Urządzają więc sobie polowania na tych, którzy bronią wolności i dbają, ażeby nie zanikała ona jako instynkt w duszy narodu i żeby nie obumierała w śmiertelnych uściskach, jak to widzimy w krajach tyrańskich dyktatur. Gromadnie wychyliły się ostatnio z kanałów naszego życia, niby oślepłe szczury, różne orędowniki mroku i śliną kalumnii obryzgują wszystko, co jest najlepsze w Polsce i co stanowi zaród i zapowiedź życia polskiego na wyższym poziomie. Rozzuchwalone, usiłują nawet przez kraty więzienia spotwarzyć teraz Dembińskiego, Jędrychowskiego i Żeromską, licząc na to, że klucznicy nie odpędzą ich precz z powrotem do wylotu kanałów.

LEGITYMACJE I TYTUŁY

Wyższe Katolickie Studium Społeczne w Poznaniu, istniejące stosunkowo niedawno, uzyskało już prawa szkoł akademickich. Uczelnia ta, jak wiadomo, służyć ma zadaniom teoretycznego kształcenia i przygotowywania do działalności praktycznej adeptów Akcji Katolickiej.

W Warszawie istnieje wyższa uczelnia pod nazwą Wolna Wszechnica Polska, legitymująca się olbrzymim dorobkiem naukowym i wykształceniem w ciągu kilku dziesiątków lat wielu tysięcy nauczycieli, pracowników naukowych, działaczy społecznych, oświatowych i samorządowych. Wolna Wszechnica Polska przekształcona została z sławnych i zasłużonych Wyższych Kursów Naukowych, które na progu naszego stulecia w nieustępliwej, mozolnej i ofiarnej walce z przemocą i rusyfikacją zaborców wychyliły się z podziemi jako zalegalizowana uczelnia, kontynuatorka i spadkobierczyni tajnego Uniwersytetu Latającego. Ta niezwykła, jedyna w dziejach nauki uczelnia polska, która istniała w podziemiach przez dwa niemal dziesiątki lat — spełniła olbrzymie zadanie naukowe i patriotyczne. Skupiła parę tysięcy młodzieży rwącej się do wiedzy oraz świat nauki polskiej, bezdomnej pod rządami najsroższych rusyfikatorów Hurski, Plehwego i Apuchtina. Tutaj z katedry rozsiewali wiedzę uczeni tej miary, co Piotr Chmielowski, Bronisław Chlebowski, Ignacy Chrzanowski, Jan Władysław Dawid, Samuel Dickstein, Adam Kryński, Władysław Kozłowski, Ludwik Krzywicki, Ignacy Matuszewski, Adam Mahrburg, Władysław Smoleński, Wacław Nałkowski, Mieczysław Heilpern, Adolf Dygasiński, Edward Grabowski i wielu innych. Z pośród zastępców słuchaczek tego Uniwersytetu między innymi zasłynęły później w życiu umysłowym Maria Curie - Skłodowska, Aniela Szycówna, wybitna pedagogiczka, Maria Dydyńska, znakomita chemiczka, Zofia Czaplicka, wybitna uczona i docentka Uniwersyt. w Oxfordzie, Natalia Gąsiorowska-Grabowska, profesorka dzisiejszej Wolnej Wszechnicy i Uniwersytetu im. Józefa Piłsudskiego, Teodora Męczkowska, pierwsza inspektorka polska, Helena Zbrzezińska, jedna z najwybitniejszych nauczycielek głuchoniemych i wiele, wiele innych, których tutaj wymieniać niepodobna.

W tym świetle genealogicznym Wolna Wszechnica Polska ma za sobą półwiekowe przeszło istnienie. Oprócz własnej chlubnie zapisanej karty zasług i wielkiego dorobku naukowego, jest spadkobierczynią ducha i tradycji społecznych i patriotycznych swoich poprzedniczek. Uczelnia ta, licząc dziś wśród tysiąca swoich słuchaczy znaczny odsetek nauczycieli i urzędników państwowych, nadaremnie zabiega o prawa akademickie, wtedy gdy studium społeczne w Poznaniu uzyskało je bez trudu i w tempie niezmiernie szybkim.

Ale czy Wolna Wszechnica Polska, mogąca na poparcie swoich zabiegów legitymować się swoją piękną kartą, ma mniejszy tytuł do uzyskania praw wyższej uczelni, niż Studium Społeczne w Poznaniu?

WANDALE W SWOIM ŻYWIOLE

Prasa codzienna w ostrych zwrotach potępia brutalne wystąpienie organu naczelnego „führera pracy" w III Rzeszy p. n. „Der Arbeitsmann". Pismo to, przeznaczone dla robotników, wyśmiewa „ludzi aryjskich", którzy „klękają przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej" i błagają „tę babę murzyńską o cechach mongolskich, aby za nimi prosiła Boga"... I tak dalej w tym samym „dynamicznym" tonie domaga się w końcu wyrzucenia obrazu z kościołów polskich w Niemczech.

To wystąpienie, jak zresztą i wszystkie inne, będące objawem „dynamiki" i „tężyzny narodowej" bynajmniej nikogo nie zdziwią. Wynika ono z logiki rzeczy i idealnie harmonizuje zarówno w tonie, jak i w treści z doktryną i praktyką systemu, opartego na przemocy i poniewieraniu praw i godności człowieka. Dławiąc swobodę myśli i sumienia, opartą na poszanowaniu uczuć i wierzeń innych, wczoraj palili na stosie dzieła niewygodnych twórców, wywracali ich pomniki, wyrzucali z galerii obrazów ich portrety, dziś bezczeszczą obrazy, będące świętością dla wierzących katolików polskich, jutro znów z bezwzględnością i brutalnością wandali wedrą się do innej świątyni ducha człowieka.

Jest nie do pomyślenia, aby u nas ludzie nawet obojętni religijnie, zejść mogli ze stanowiska pełnego powagi i poszanowania w obliczu szczerej wiary innych.

Ale w tym plugawym wystąpieniu jak w zwierciadle mogą się dziś przejrzeć niektóre okazy naszej prasy z pod znaku napastniczej reakcji, te same, które płoną dziś świętym ogniem oburzenia na bluźnierstwa hitlerowców, a jednocześnie gwałcą zasadę wolności sumienia i myśli.

Wincenty Rzymowski

Dożynki Warszawskie 1937

Jesień — pora dorocznej „klęski" urodzaju, w tym zaś roku pora prawdziwej niestety klęski nieurodzaju, bywa jednocześnie porą obrachunku. Porą podsumowania plonu szczęśliwych czy mniej szczęśliwych prac i zabiegów. W każdym zaś razie jesień jest porą dożynków: mniejsza o to, czy pisanych przez „ż" czy przez „rz". Każda — a cóż dopiero tak bogata przyszłością, tak przełomowa, jak obecna!

Wierna temu zwyczajowi Epoka zaczyna w numerze bieżącym cykl drobnych ulotnych utworów, w których znakomity pisarz Wincenty Rzymowski, zmienia chwilowo pióro publicysty na kosę i kropidło satyryka, aby zgodnie z tradycją sprawić dożynki na niwie naszej prasy, polityki, sztuki i literatury. Wielcy i mali, skromni i zadziorni, antykwariusze i zwiastuni przesuną się kolejno przed oczyma Czytelnika — każdy w swoim repertuarze, wszyscy w swoich tytułowych rolach. Dostojnicy świeccy i prałaci, ordynaci i bankierzy, żywe hurtownie cnoty i jej oszczędni detaliści.

Aby się w tej lekturze rozsmakować, niekoniecznie trzeba być osobiście zainteresowanym. Należy mieć tylko nieco humoru, nieco współczucia dla niedoli bliźnich i tyle przynajmniej bezstronności oraz obiektywizmu, ile ich wykazał autor, jednaką traktując miarą przyjaciół i przeciwników.

Sztychy bowiem satyryczne, których wstępną [illegible] znajdzie Czytelnik poniżej, nie są tylko indywidualnym kaprysem lub osobistą fantazją ich autora. Postawa, która się w nich odbija, jest jaskrawa, lecz nie jest bałamutna. W odczuciu, z którego one powstały, odnajdzie swoje własne refleksy uczuć i myśli niejeden człowiek i niejeden zespół myślący, niejedna grupa społeczna, przekonana, że dość już było w Polsce lamentu gorzkich żalów. Że nadszedł czas, aby pewne rzeczy i pewne figury na publicznej scenie życia witano chórem wesołego śmiechu. Tak, pora na dożynki.

EPOKA.

„CZAS"

KAŻDY W POLSCE OD LAT DWUSTU
RZĄD PRZYPADAŁ MU DO GUSTU.
KAŻDEMU SIĘ KŁANIAŁ W PAS.
STĄD PRZYSŁOWIE: KTO MA WŁADZĘ, TEN MA CZAS.

„KURIER WARSZAWSKI"

NIE DBA O LOS RZESZY
ŻYWYCH CZYTELNIKÓW,
BO GO WIĘCEJ CIESZY
POCHÓD NIEBOSZCZYKÓW.

W NICH MA ZAUFANIE,
NIE WIE NIC O BIEDZIE.
I TAK SOBIE JEDZIE,
JAK — NA KARAWANIE.

MIECZYSŁAW GRYDZEWSKI:

„WIADOMOŚCI LITERACKIE"

ZBIERA CO NAJLEPSZE PRZYSMAKI NA TACY:
OD JAJ ŚWIĘCONYCH DO ŻYDOWSKIEJ MACY.
CZEGO JESZCZE NAMIĘTNIE POŻĄDA,
TO — DOBRAĆ DO WSPÓŁPRACY
TROCKIEGO I HLONDA.

„MAŁY DZIENNIK"

WYRWIJ MU, PANIE,
ŻĄDŁO DELATORA,
A CÓŻ ZOSTANIE
Z REDAKCYJNEJ ŚWITY?
BRUDNE HABITY
I — STRZĘPY JĘZORA.

STANISŁAW CAT-MACKIEWICZ:

„SŁOWO"

JAKA WIERNA DZIEWCZYNA:
W KAŻDYM SŁOWIE WSPOMINA
ZŁOTY WIEK RASPUTINA,
OJCOWSKIE RZĄDY CARA!
AH! JAKA WONNA CZARA,
JAKA WIERNA DZIEWCZYNA!
CODZIEŃ RANO WSPOMINA
CARA I STOŁYPINA.
JAKA WIERNA DZIEWCZYNA,
AH, JAKA WONNA CZARA
ZŁOTA I MIRRY DLA CARA,
KADZIDŁA — DLA BERLINA!

„I. K. C."

SZLAKIEM STAREJ GALILEI
NIE ZWAŻAJĄC NA WYSIŁEK,
WSZYSTKIM RZĄDOM PO KOLEI
W POCIE CZOŁA PCHA SIĘ — W TYŁEK.

FERDYNAND GOETEL

W „KURIERZE PORANNYM"

GOETEL ZERWAŁ SIĘ RANO,
PĘDZI Z PIERSIĄ ZDYSZANĄ,
BY W „PORANNYM" ROBIĆ REDAKTORA.
SADZI WIELKIE KROCZYSKA,
NOMINACJĘ SWĄ ŚCISKA
OD WCZORA.

PRZYSZEDŁ, CHWYCIŁ ZA PIÓRO,
JUŻ SIĘ MIERZY Z KIEPURĄ
— JAK ZAŚPIEWAM, CAŁY OBÓZ ZAKLASZCZE!
DOŚĆ JUŻ TEGO CHAOSU,
GDYM SIĘ DORWAŁ DO GŁOSU,
JA WAM WODZA NAMASZCZĘ!

I W RADOSNEJ TWÓRCZOŚCI
PISMO RŻNIE DO LUDNOŚCI:
ŻE ZA MORRRDĘ... ŻE W ZĘBY... I KWITA!
A KTO GOETLA NIE SŁUCHA,
W IMIĘ RÓGA I DUCHA,
NIECHAJ Z KRAJU UNOSI KOPYTA!

Z PIÓRA SKRY MU SIĘ SYPIĄ,
W TYM... DRZWI GROŹNIE ZASKRZYPIĄ:
„W ZĘBY!.. WYLAĆ!.." CZYJŚ GŁOS SIĘ ROZSROŻYŁ.
CO TO? DYMA? TAK SKORA?
TEGOŻ JESZCZE WIECZORA
GOETEL UNIÓSŁ KOPYTA, LECZ „KURIER" POŁOŻYŁ.

„POLITYKA — BUNT MŁODYCH"

BUNT? LECZ CUKIER Z RĘKI JADA.
BUNT? LECZ ŁASKI WŁADZ ZAŻYWA.
BUNT, ALE... DZIESIĄTA BRYGADA.
BUNT, ALE W BOMBIE... PIWA.

HOPPE: „JUTRO PRACY"

CZOŁEM, JUNACY!
CZY ZNACIE MOJĄ MYŚL?
NIECH ŻYJE JUTRO... JUTRO PRACY,
BYLE... NIE DZIŚ!

„GONIEC WARSZAWSKI"

PEWNA PANI, NIE WIDZĄCA
— JAK TO MÓWIĄ — NIGDY SŁOŃCA,
ROZPALIŁA SIĘ DO „GOŃCA".
CZYTA GO JUŻ OD MIESIĄCA;
CZYTA GO JUŻ WIELE DÓB:
MALUCZKO, A POWSTANIE KLUB
PAŃ, UŻYWAJĄCYCH „GOŃCA".

d. c. n.

Jak wystylizowano chłopa aby się podobał panom?

Gdy zejdą się ze sobą dwaj politycy, nikogo nie będzie to ani dziwiło ani do jakichś szczególnych pobudzało wniosków, gdy mówić zaczną o polityce. Podobnie, gdy spotka się ze sobą dwóch uczonych lub dwóch literatów i poruszają interesujące ich tematy naukowe lub literackie, nikt nie wnioskuje stąd, że praca, której się oddają jest ich zawodem dziedzicznym, wziętym w spadku po ojcach i przekazywanym potomstwu, jako szczególne błogosławieństwo nieba.

Ale niech spotkają się dwaj chłopi, siedzący na roli, niech zawiążą między sobą wymianę zdań na tematy, związane z orką lub siewem, młócką lub hodowlą krów: jakiż natychmiast bogaty stąd wysnuwa się repertuar myśli, uwag, konkluzyj i przeświadczeń! „Chłop gada o roli, bo jest z rolą i z pracą na niej związany z dziada-pradziada; bo przekaże je wnukom-prawnukom. Gada o niej, bo sam jest cząstką tego samego żywiołu; bo żywioł ten ukochał; bo zrósł się z nim wszystkimi włóknami organizmu; bo istnieć by nie mógł bez niego": —oto próbka tego różańca banałów, które w świecie mieszczańsko-inteligenckim i nawet inteligencko-postępowym zwykło się powtarzać, ilekroć nadarzy się po temu sposobność.

Ten mit nieprzepartego rzekomo przywiązania chłopa do skiby i pługa jest tak głęboko zakorzeniony w naszych środowiskach mieszczańskich, ukształconych przez tradycyjną a bezkrytyczną literaturę (Sienkiewicz, Prus, Reymont, Dąbrowska), że nie zachwiał go nawet oczywisty fakt masowej emigracji chłopskiej do fabryk: masowej, milionogłowej emigracji chłopów za morza i oceany, do obcych kopalń i hut. Romantycznie wystylizowany wzór Ślimaka („Placówka" Prusa) i Boryny („Chłopi" Reymonta) jest tak górujący i przemożny, tak wszechobecny i narzutliwy, że nie zostawia poza sobą najszczuplejszego nawet pola dla wątpliwości lub zastrzeżeń. Osoby, na ogół nie pozbawione krytycyzmu, gdy staną wobec doli chłopa i skojarzonego z nią mitu, przestają dostrzegać jego dolę, widzą tylko — mit! I patrząc poprzez ów pryzmat mitu, zdają się wierzyć, że chłop, choćby mu już tylko tyle roli zostało, ile dłań trzeba na grób, to i tak, na tym pręcie grobowym będzie orał i siał — szczęśliwy!

Bo i czemuż by nie miał być szczęśliwy?

Wszak skoro trzyma się „zębami i nogami" swego zagona ziemi, to nie dlatego, że nie ma do-

kąd pójść, ale dlatego, że się z nią zrósł i że ją umiłował!..

Przeświadczenie o sakramentalnym przywiązaniu chłopa do kojca swojej biedy mogło, oczywiście, powstać i utrzymać się tak długo dzięki temu, że trafiło na odpowiednie warunki. Było ono, mianowicie, nie tylko korzystne, ale wręcz nieodzowne dla kapitalizmu, organizującego swe warsztaty dochodowe przede wszystkim w miastach i ośrodkach miejskich. Rozrastający się kapitał przemysłowy potrzebował chłopa, któryby na swej ubogiej skibie poprzestawał; chłopa — kopciucha, w którego by wmówić się dało, że nie ma większego na ziemi błogosławieństwa, nie ma trwalszego szczęścia, niż to, które zamieszkało na wsi, na ciasnym skrawku ziemi między oborą a kruchtą.

A co najważniejsze: kapitalizm potrzebował chłopa, któryby, we własną gnojówkę zapatrzony, nie poczuł się do wspólnictwa doli swej z dolą proletariatu fabrycznego i wespół z nim do wspólnej nie stanął walki o przebudowę ustroju społecznego. Balzakowski chłop, świadomy granic, w jakich go zamknięto; chłop — buntownik, chłop — przebiegłec nie odpowiadał interesom kapitału. Dlatego chłop z kart powieści Balzaca nie był podjęty na fale propagandy. Odczuto go odrazu, jako niebezpieczeństwo, i postarano się to niebezpieczeństwo zlokalizować, pomniejszyć, unieszkodliwić. Tak było gdzieindziej, tak było i w Polsce.

Ani Reymonta, ani tymbardziej Prusa lub Dąbrowskiej*) nie podobna posądzić o to, że swe postaci chłopskie świadomie i rozmyślnie kształtowali wedle recepty interesu kapitalistycznego. Nic podobnego. Postaci owe (Ślimak, Boryna, „Ludzie stamtąd") gdyby były kreowane pod czyjekolwiek dyktando, nie miałyby tej cery żywotnej, która sprawia, że żyją wśród nas na równi z osobami rzeczywistymi. Ale jakże mylą się ci, którzy przypuszczają, że wpływy i emanacje pieniądza oraz skupionej w nim tyranii kończą się tam, gdzie kończy się zwerbowane przezeń lokajstwo!

Kapitał — zwłaszcza kapitał zorganizowany w koncerny i kartele — produkuje nie tylko perkaliki i mydło, nie tylko buduje pancerniki i odlewa armaty; on także, gdy zachodzi potrzeba, produkuje tęcze ułud i zasłony, tkane z urzekających malowideł. On umie niedostrzegalnie wprowadzać swoją własną hierachię w świat sztuki i literatury, zakładając uzależnione od siebie instytuty i akademie; on kładzie rękę na palecie malarza i na piórze beletrysty, podsuwając i premiując pewne kierunki i tematy, izolując lub zniesławiając inne. A zresztą, pocóż bawić się w długie wywody? Czyż nie wystarcza stwierdzić, że burżuazja, posiadająca pieniądze, jest od stu lat jedynym mecenasem literatury i sztuki?

Skoro myśl tę przemyślimy do końca, wyjaśni się nam wiele zagadkowych skojarzeń, wiele dziwnych na pozór spotkań i niezrozumiałych skrzyżowań. Wyjaśni się nam i to, dlaczego ideał chłopa, malowany przez konserwę, tak podobny bywa do idealnych wizerunków chłopskich, malowanych przez pióra rzekomo postępowe i demokratyczne. Podobieństwo niekiedy staje się aż tak wzruszające, że wersja wstecznicza i wersja postępowa wydają się jedynie dwoma wariantami tego samego zasadniczego wątku.

*) Por. „Dąbrowska i Morstinowa — dwie myśli na rozdrożu". — „Epoka", nr. 12.

Wersja obszarniczo - kołtuńska wyraża się w haśle brutalnym i szyderczym: „Cham chce tylko ziemi". Wersja postępowo - mieszczańska mówi tkliwie o „umiłowaniu rodzinnego zagona": ale czy obie nie harmonizują ze sobą w tym, co stanowi przedmiot głównego zainteresowania dla kapitału? W tym, aby chłopa, przykutego do taczki gnoju, wewnętrznie z tą niewolą pogodzić.

Tak to ubrano chłopa w szczęście osobliwego pokroju; w szczęście, które tylko jemu jednemu ma smakować i musi smakować, gdyż wszyscy inni mają prawo odeń stronić i nim gardzić. W mieście, we dworze ziemiańskim, w osadzie fabrycznej, nie ma człowieka, o którym by się nie przypuszczało, że chętnie porzuci swój zawód gorzej płatny, skoro tylko zdarzy mu się sposobność lepszego zarobkowania. Tylko o chłopie podobnych przypuszczeń snuć nie wolno. Chłopa z tego naturalnego prawa ludzkiego — prawa dążenia wzwyż — wyosobniono, i wyosobnienie to kazano mu uważać za szczególne błogosławieństwo boże.

Pod skrzydła tegoż błogosławieństwa oddano również i stary pańszczyźniany strój chłopski: to wiekowe w oczach „dziedzica" znamię swojskiej malowniczości ale i upośledzenia wsiowej biedoty. Skoro duszę chłopa postanowiono zasklepić w niezmienności muzealnej, niechaj-że nie odmienia się także i jego siermięga, i jego obyczaj domowy, i jego obrzęd witania się i żegnania z ceremonialnym podejmowaniem jaśniepaństwa pod nogi, z pobożnym w rękę całowaniem proboszcza. Wszak wszystkie te szczegóły są ważne: wszystkie w jego psychice układają się na kompleks niższości i poddaństwa, tak ceniony w chłopie przez kler, przez wyższą administrację i przez wyższe sfery społeczne*).

To też gdy lud wiejski pod wpływem zmieniających się warunków — poprzez odpływ do miast i osad przemysłowych, poprzez emigrację zagraniczną i zaoceanową, poprzez styczność z rzeczywistym postępem kultury, jął się masowo modernizować; jął zrzucać zbutwiały uniform pańszczyźniany — któż z nas nie pamięta piekielnej wrzawy zgorszenia, jaka wybuchła w sferach ziemiańskich, klerykalnych i nawet mieszczańsko - inteligenckich? W miasteczkach, na targu i przed kościołem, pod wpływem prądu, idącego z góry, wprost urągano się z chłopa, który ubrał się w kołnierzyk („Patrzcie, jak to się cham wystroił — niczym pies w chomąto!). Gospodarze, pozostający wierni długim sukmanom i dawnym tradycjom, stali się, w oczach szlachty folwarcznej, ostoją Polski, polskości, polszczyzny. Kler, lękając się, aby lud wiejski wraz ze starą siermięgą

*) Ten kompleks tak silnie skojarzył się z powszechnym mniemaniem o chłopie, że uległ mu nawet Wincenty Witos, który lękał się przywdziać kołnierzyk, aby go nie posądzono, że... przestał być chłopem.

OD REDAKCJI.

Z rozporządzenia Komisariatu Rządu na m. st. Warszawę, poprzedni nr. (16-ty) „Epoki" został skonfiskowany za artykuł p. t. „Dwugłos o Unii Sowieckiej — André Gide i Lion Feutchwanger".

nie odrzucił też i starych przesądów, zagroził nowatorom klątwami ambony. „W coś ty się ubrał chłopie? Jak ci to pasuje? Strój ojców zatracasz?" — oto owe księże przygany. A także jadowite docinki: „Cóż to, za pana będziesz? A, moje uszanowanie, panie Wojciechu!"

Na ratunek ginącego folkloru nie omieszkali pospieszyć — śladem konserwy i duchowieństwa — także i pseudopostępowcy: „Jakże bo — wołali — pozwolić, aby wieś straciła swój kolor, swój styl, swoją oryginalność?"

Cele obszarnika i cele inteligencji miejskiej były zgoła różne; odmienne były ich podłoża społeczne; odrębny tych dwu środowisk stosunek do chłopa. Przy całej tej wszakże odrębności założeń, działalność jednej i drugiej grupy w końcowym wyniku niemal bez reszty pokrywała się ze sobą.

Inteligencja, wychowana na „krzepiącej serce" literaturze i nawykła w Ślimaku i Borynie czcić symbole potęgi chłopskiej, wbrew woli okłamując siebie, jednocześnie w swej przezacnej naiwności okłamywała innych. Czyniła to jeszcze przez wiele lat po wojnie; w owym czasie, gdy chłop „kochający ziemię" został już naprawdę bez ziemi.

Nie mamy dotąd w Polsce ścisłej statystyki, odtwarzającej chłopską drobnicę rolną. Ale z tego, co wiemy, istnieje u nas przeszło 3 miliony gospodarstw do 5 ha (na ogólną liczbę trzech i pół miliona) nie licząc Śląska, gdzie również panuje drobnica.

Zastanówmy się: chłop na osadzie poniżej 5 ha czyż to jest w Polsce gospodarz? Nie! To — robotnik, trzymający się kawałka roli, bo niema dokąd iść. To, co spada poniżej 4-ch lub 3-ch ha — to już niewątpliwie proletariat: proletariat, z którego łona setki tysięcy osobników wyruszą jutro na zarobek, skoro tylko gdziekolwiek zaświta możność pracy.

Tego zatuszowanego proletariatu rolnego mamy w Polsce około 15 milinów. Około 15 milionów ludności, wkłamanej w rolnictwo a nakrytej wspólnym szablonem wiary w jej nierozerwalne śluby z ziemią.

Rezultat gospodarczy tych szablonów — jak dziś widzimy — jest... kapitalny i — tak oczywisty, że nie ma potrzeby go uwydatniać. Ale czy lepiej jest z folklorem? Wbrew jednolitemu frontowi, który na wieki chciał chłopa osadzić i zasklepić w siermiędze boskiej pierwotności, wieś przedarła się przez kordony zakazów. Z folkloru pozostały strzępy. Zabobonność i klerykalność chłopa stanęły tak wyraźnie pod znakiem zapytania, że nawet sędziwy, zachowawczy „Czas" przestrzega, aby na tym tradycyjnym gruncie nie budować już zbyt wiele. Czy nie dlatego wyższe duchowieństwo w Polsce przy udziale megafonów prasy zwoływać musi i celebrować coraz częstsze „kongresy" i „pielgrzymki", aby pod ich ostentacją zewnętrzną zataić swe upadające wpływy?

Tak. Całe „obozy" i stronnictwa, całe organizacje w Polsce pracują nad tym, aby od rzeczywistości uciec, aby ją przesłonić, a dzięki przesłonie, zakłamać. Ale od rzeczywistości uciec nie można. Fakty zawsze pozostaną faktami, bez względu na to, czy je ktoś raczy widzieć, czy też ich widzieć nie chce.

Okłamywać można tylko siebie. Rzeczywistości okłamać nie można.

Wł. Kowalski.

O DUCHU NIEDOCENIONYM

Rola, jaką w życiu i kulturze naszej odegrał Stanisław Witkiewicz, jeśli nawet została doceniona przez nieliczne jednostki, to jednak nie utrwaliła się w świadomości ogółu. Pokoleniu, wychowanemu w polskiej już szkole, nie obce jest imię autora „Na przełęczy". Nie obce, ale też i niewiele mówiące.

Tak już widać zrządziła Ananke historii polskiej, że imionom pewnym nie łatwo się doczekać — ani za życia, ani nawet po śmieści — powszechnego uznania. To samo da się przecież powiedzieć o takich postaciach, jak Jakub Jasiński, Szymon Konarski, do niedawna jeszcze o Norwidzie, a dziś o J. Wł. Dawidzie i Mieczysławie Romanowskim.

Może nie za przypadek uważać należy, że w chwili obecnej myśl nasza żywiej, niż kiedykolwiek, biegnie ku osobie Stanisława Witkiewicza. Ukazały się właśnie niedawno „Wspomnienie" o nim pióra sędziwej siostry znakomitego (choćby przez samą wszechstronność) współtwórcy kultury polskiej.*) Ukazał się krótki, ale bardzo interesujący artykuł Kazimierza Kosińskiego w „Nowej Kwadrydze" z marca b.r., znamienny, jako ilustracja tych bojów, które o pamięć Witkiewicza staczać dziś trzeba... Ukazał się również w „Tygodniku Ilustrowanym" (nr. 11 z 14.III 37) piękny „wywiad fikcyjny" z Witkiewiczem pióra Romana Zrębowicza.

Kim był właściwie ten człowiek, ku któremu zwracamy się teraz, jakby w przeczuciu, że w spuściźnie po nim znaleźć można najświatlejszą radę, siłę otuchy, mądrą szlachetność?

Odkrywcą Tatr? Jednym z najznakomitszych europejskich krytyków plastycznych? Wybitnym malarzem? Genialnym wizjonerem? Wielkim moralizatorem? Heroldem współczesnej demokracji polskiej?

Kim był przede wszystkim?

Na to pytanie nie możemy dziś jeszcze dać pełnej odpowiedzi. W rękopisie spoczywa ostatnia praca Witkiewicza p. t. „Życie, etyka i rewolucja". Nie omówiono dotąd obszerniej społecznych i politycznych poglądów autora „Dziwnego człowieka". A stanowią one niezmiernie ważną część składową jego myśli, tej myśli, którą znamionowała tak zadziwiająca rozpiętość widnokręgów.

Stanisław Witkiewicz umiał nietylko przeczuć telewizję — i to telewizję w formie, o jakiej z najtajniejszym, najgłębszym drżeniem serca marzą zapewne dzisiejsi wynalazcy.**) Widział nietylko przyszłość, w której „przenoszenie obrazów i dźwięków będzie rzeczą tak łatwą i zwykłą, że wymiana myśli, współrzędność wrażeń i wzruszeń, stanów psychicznych i uczuć, uczyni z ludzkości jakby jedną potężną duszę". W swym cudownie dalekosiężnym wizjonerstwie przeczuwał czas, w którym:

„Cnota musi się stać powszednim, pospolitym, nieuświadamianym stanem, żeby człowiek mógł być istotą wyższą ponad siebie, żeby mógł, odrzuciwszy szczudła praw i obyczajów, pęta przykazań i obowiązków, żyć w zupełnej zgodzie z sobą, zupełnej

*) Maria Witkiewiczówna: „Wspomnienie o Stanisławie Witkiewiczu". Gebethner i Wolff, 1936, str. 110.

**) Por. „Dziwny człowiek", str. 106 i 107. Broszurę tę napisał Witkiewicz w r. 1902!

swobodzie we wspaniałej godności istoty niezależnej — odpowiedzialnej tylko sama przed sobą". (Z opowieści p .t. „Zośka Galica").

Rzecz nadwyraz znamienna: ten człowiek, który z taką odwagą siągał w najodleglejsze głębie losów ludzkiego rodzaju, przejmował się również najżywiej zagadnieniami współczesności. Ten wielki marzyciel był jednocześnie wielkim realistą. Potwierdzać to zdaje się tezę o „litewskim realizmie", który ma przecież w naszej historii takich przedstawicieli, jak Mickiewicz i Piłsudski. J. Witkiewicz wyrósł w żmudzkim dworku. Miał też najgłębsze zrozumienie dla prawdziwych realistów, dla tych, którym carskie bagnety i knuty nie wydawały się bynajmniej decydującymi realiami. Umiał demaskować „fałsze i fikcje rzekomego realizmu", z najwyższą pogardą odrzucał linię ugody z despotyzmem carów, z największą radością dostrzegał w Legionach zalążek przyszłej milionowej siły...

Legiony — była to ostatnia, ale jakże niezmierna radość Witkiewicza! Sześćdziesięciokilkoletni, schorowany człowiek, który przeżył klęskę styczniową, oczami dziecka patrzał na egzekucje powstańców, a trzy lata najwcześniejszego chłopięctwa spędził na sybirskim wygnaniu — płonął w roku 1914 ogniem młodzieńczego entuzjazmu. Pisał w listach do siostry:

„Strzelcy to Legiony naszych czasów i tę samą rolę odegrają w historii naszej. Niestety, zamiast Wielkiej Rewolucji i Napoleona mamy za sobą pikielhauby. Ale pal pies! Dawno jakiś Polak powiedział: „Z diabłem wejdę w przymierze, byleby pomógł Polskę odbudować".

„Z jakim uczuciem czytaliśmy wezwanie, podpisane przez Józefa Piłsudskiego, możecie się domyślić.

Strzelcy wprowadzają do historii napowrót siłę, którą ludzie przywykli uważać za dawno zniszczoną. Żyjemy — o to chodzi — nie o obcinanie kuponów".

Cytował:

„Jest sława, a więc będzie i Rzeczpospolita;
Zawsze z wawrzynów drzewo wolności wykwita".

I dodawał z widocznym wewnętrznym drżeniem:

„Patrzę na czapkę Ziuka i myślę o Nich wszystkich".

Łączyła Witkiewicza z Piłsudskim najgłębsza przyjaźń. Komendant Legionów korespondował z autorem „Na przełęczy", tytułował go „Kochanym Wujaszkiem". Był o siedemnaście lat młodszy od najstarszego piłsudczyka.

O tych, którzy powołanie swe widzieli w przeciwstawianiu się idei zbrojnej walki o niepodległość, pisał Witkiewicz:

„...są to tylko ludze bezgranicznie głupi, wyrośli bez idei niepodległości, bez idei samodzielnego życia narodowego, ciągle oczekujący łaski, przywykli stać ciągle w przedpokoju tej czy innej władzy, z zapewnieniem lojalności i prośbą o wsparcie; nie zdrajcy, ale przeklęci ludzie słabi, nie mniej szkodliwi od rzeczywistych zdrajców".

Haniebnej pamięci adresowi hołdowniczemu do Wielkiego Księcia Mikołaja Mikołajewicza poświęcił Witkiewicz jedno zdanie:

„Dokument... żeby wyrażał *szczere* uczucie, byłby dowodem *ostatecznego* spodlenia, jeżeli zaś jest przebiegłością polityczną, to jest *Wallenrodyzmem— idjotów!*"

Co za błyskawica gniewu! I jaka niezwykła w swej lapidarnej trafności ocena polityczna! Jakże się przy tym wzburzyć musiał ten człowiek o gołębim sercu, jeśli użył słów tak bezwzględnych!

Inny passus, niemniej ostry i trafny:

„Srokowski... nie zdobywa się na nic innego, jak na dosyć pospolite i zszargane wymysły na Dmowskiego. Zamiast podać fakty, daty, czyny, nazwiska, ci rozpisują się o ......*), o którym trzeba zapomnieć. Dmowski jest produktem, nie twórcą tych politycznych prądów".

Bodajże nikt nie ocenił lepiej Dmowskiego i jego ideologii. Słowo „produkt" brzmi tu nieomal jak wyrok. Witkiewicz zbyt namiętnie nienawidził endecji i jej przywódców, by owijać prawdę w bawełnę. Pisał o podziale społeczeństwa polskiego na obóz walki i obóz służalstwa:

„W 1905 wystąpił w straszliwy sposób ten rozdział wewnętrzny — a teraz w jeszcze straszliwszy; ci co nie chcieli walczyć, mówili: to moskiewska rewolucja, to żydowski Bund, to międzynarodowy socjalizm. *Dziś żołnierze polscy* z białymi orłami na rogatych czapkach idą się bić — a ci, co nie chcą się bić — mówią: to intryga Niemców, to głupota — i kupią się około najgłupszej myśli politycznej".

Nie mógł domyślać się ten, w którym, zdaniem prof. Kazimierza Kosińskiego, widzieć powinniśmy „ojca demokracji polskiej", że w dwadzieścia lat później reprezentanci owej „najgłupszej myśli politycznej" każdy przejaw walki o demokrację traktować będą jako intrygę „żydowsko-masońską"...

Przeciwstawiał też Witkiewicz sam swój realizm „realizmowi" endeckiemu:

„Polscy „realni" politycy, którzy budują przyszłość na najbardziej niepewnym gruncie obietnic... nie rozumieją, że sława Legionów jest najrealniejszym, najrzeczywistszym skarbem narodu, jest źródłem siły, która jest milion więcej warta od parszywej obiecanej autonomii, samorządów, kierowanych przez policję i innych „realnych zdobyczy".

„Czembyśmy byli bez Piłsudskiego i Jego żołnierzy? Wszą, siedzącą za kołnierzem walczących państw i narodów!

...Mało jestem wart, jako jednostka bojowa, ale w sobie czuję się zawsze żołnierzem z pod komendy Piłsudskiego i to rozjaśnia życie..."

Te wszystkie wyjątki z listów do siostry pochodzą z krótkiego okresu między dwoma sierpniami, 1914 i 1915 roku. Wydała je Maria Witkiewiczówna jeszcze w r. 1922 jako „Testament Stanisława Witkiewicza". Ze szczególnym wzruszeniem czyta się je dziś, gdy myśl biegnie ku postaci wielkiego obywatela i nauczyciela, który, mimo siódmego krzyżyka i ciężkiej choroby, z takim żarliwym entuzjazmem popierał sprawę Legionów i zwalczał jej przeciwników.

Był Witkiewicz — dziecko zamożnych rodziców szlacheckich — najszczerszym demokratą. Przyjacielem w tej samej mierze, co Chełmoński, Gierymski czy Żeromski, był mu legendarny Sabała. Znał Witkiewicz ludzi i kochał ich aż do granic samozaparcia i najdalej idącej osobistej ofiarności. Nauczał:

„Istotę człowieka poznaje ten tylko, kto umie czcić geniusz w dziecku, kto w głębi duszy ludzkiej potrafi dojrzeć utajoną moc czynów niespełnionych, kto w nieśmiałym szepcie duszy ledwie budzącej się

*) Opuszczamy określenie umysłowości Dmowskiego niezmiernie dosadne (Red.).

do życia, dosłyszy szum wichru myśli wieszczów, kto na wątłych jeszcze skrzydłach młodości dojrzy orle pióra potężnych lotów, kto *w nagim nędzarzu, wyrzuconym na śmietnisko odpadków ludzkich dojrzy znamiona wyższych pierwiastków ludzkiej godności.*"

Kochał Witkiewicz lud góralski, który też z twórcą najlepszych polskich monografii artystycznych zżył się najserdeczniej podczas jego kilkunastoletniego pobytu w Zakopanem. I łatwiej było Witkiewiczowi, niż komukolwiek, ocenić walory sztuki ludowej, bo pojmował jej źródło: duszę ludu. Nazywał sam siebie „prorokiem stylu zakopiańskiego". Ciężkim wysiłkiem osobistym regenerował architekturę i zdobnictwo zakopiańskie. Prace te wpływały niewątpliwie na istotne pogłębienie jego demokratyzmu.

Witkiewicz odczuwał niedolę ludu polskiego, jak własne nieszczęście. Znał i rozumiał duszę chłopa, widział w nim zaród wielkiego życia w przyszłej, wolnej Polsce. Był nieubłaganym wrogiem przemocy i widział wyraźnie, że ucisk chłopa w Rosji pomści się srodze w przyszłości. Zdawał sobie sprawę z tego rosyjskiego chłopa, którego feudalno-dworska klika wpędziła w imperialistyczną wojnę. „Panów mieć nie należy!" — nauczał — że chłopi rosyjscy wyciągną krwawe wnioski z krwawych doświadczeń wojennych, podczas których musieli płacić życiem „za podłość swoich panów". Przewidział rewolucję rosyjską, przewidział, że będzie olbrzymia.

**
*

Zmarł 5 września 1915 roku, na ziemi włoskiej, w Lovranie.

„Zamknęły się usta — powiedział wówczas Żeromski — które jeszcze tak dużo nie dopowiedziały..."

— A czyż nie nosi znamion tragizmu fakt, że to nawet, co Witkiewicz zaklął w ostateczną formę, jego testament ideowo-społeczny, nie może znaleść dziś jeszcze w Polsce nakładcy?

Zygmunt Jarosz.

Sam tego chciałeś Antoni Dyndało!

Epizod walk nad bzdurą

Któżby to się spodziewał, że pod takim tytułem, suggerującym żałość i współczucie (jak zwykle na tym świecie niepozbawione ziarna uciechy) zmuszeni będziemy pisać artykuł o słynnym zębalu satyry warszawskiej, żywym kołczanie dowcipu i butnym asie siarczystych kronik tygodniowych w „Wiadomościach Literackich" — słowem, o Antonim Słonimskim?

Lecz cóż począć? Położenie jego jest prawdziwie pożałowania godne; tym żałośniejsze, że nawet skarżyć się na nie nie może; bo to, co go teraz spotyka, z góry sam uprzednio pochwalał, a nawet reklamował.

Nie będziemy tu szczegółowo powtarzali wersyj, które ostatnio posłużyły za bazę operacyjną do wypadów na biednego autora „Wieży Babel". Atakuje się go, jak wiadomo, za to, że pojechawszy (za pieniądze skarbowe?) na kongres Pen-klubu do Paryża, nie nadstawił tam dość walecznie swej łysej głowy w obronie ojczyzny, zagrożonej — jak kwieciście wyrażają się nasi rycerze-endecy — przez „jakiegoś żydłaka, który miotał obelgi i kalumnie".

Ów „żydłak" ni mniej, ni więcej tylko groził nam pono utratą niepodległości. Twierdził, że otrzymaliśmy ją dzięki poparciu żydowskich liberałów. A waleczny pan Antoni cóż na to? Tu oddajemy pióro młodemu solenizantowi obecnej koniunktury, p. Alfredowi Łaszowskiemu, który, nie posiadając się z oburzenia, w ten sposób na łamach „Prosto z Mostu" potrząsa odwagą swego kolegi z „Wiadomości Literackich".

„Pan Słonimski, zamiast skarcić go, przywołać do porządku, zwymyślać od ostatnich, perswadował, tłumaczył, usprawiedliwiał Rzeczpospolitą. Wedle informacji „Naszego Przeglądu" rozmowa miała przebieg niezwykle serdeczny."

Jak tam było naprawdę, nie wiemy, bo nie mamy znajomości w „Naszym Przeglądzie", który dla p. Łaszowskiego i jego opiekunów jest widocznie instancją ostateczną nawet w zakresie sprawozdań z działalnośc Pen-klubu. Nie wiemy też, czy obelżywa i niedorzeczna wersja co do pochodzenia niepodległości polskiej nie powstała w ustach „jakiegoś żydłaka" stąd, że wziął on na serio to, co przez długi czas głosili endecy, aby obniżyć dzieło i sławę oręża Józefa Piłsudskiego. Wszak to endecy, mentorzy panów Łaszowskich i Piaseckich, zapewniali swoich i obcych, że Polacy „otrzymali niepodległość za darmo". No, skoro otrzymaliśmy ją darmo, to już byłoby obojętne, komu ją zawdzięczamy: liberałom żydowskim czy rosyjskim, czy może poprostu pikelhaubie pruskiej albo łasce masonów francuskich w rodzaju Clemenceau...

Któż to bowiem, jeśli nie ojcowie stronnictwa, w którym uwili sobie gniazdko i p. Piasecki i p. Łaszowski, całowali jeszcze niedawno ręce ambasadorów francuskich, składając na ich progu dzięki za „odzyskaną wolność"? Któż jeśli nie starszyzna endecka, depcąc nie tylko prawdę historyczną ale i honor narodu, przypisała gen. Weygandowi — i to na przekór jawnej jego woli! — laur zwycięstwa w roku 1920, byle tylko wywłaszczyć z zasługi znienawidzony wówczas Belweder? Wiemy, że są to grzechy ojców, wstydliwie dzisiaj ukrywane. Ale grzechy się mszczą. A przy tym grzechy ojców, jak powiada Pismo św., spadają często na synów. Jeśli więc p. Słonimski nie uderzył, jak należało, na „bezczelnego żydłaka", to... może dlatego, że nie chciał wywoływać z przeszłości widma grzechów endeckich? A może to widmo dostrzegł ucieleśnione właśnie w osobie napastnika, który na paryskim zjeździe pisarzy wyrwał się z kalumniami na Polskę, odgrzanymi ze starej kuchni endeckiej?

Może... Ale Słonimski nam tego nie mówi. On w ogóle nic nie mówi, bo już sam nie wie, co ma powiedzieć temu tłumowi nieprzyjaciół, który go ciągnie za jadowity język, ale tylko po to, żeby na nim ostrzyć swoje własne brzytwy i potem tymiż brzytwami golić go niemiłosiernie. Kiedy Jerzy Hulewicz w „Kurierze Porannym" napisał, że Słonimski „przyczepił się" do delegacji polskiej, nie mając żadnego mandatu ani zaproszenia, autor „Walk nad Bzdurą" wyjaśnił, że był formalnie wybrany na posiedzeniu zarządu i pojechał na kongres w charakterze delegata Pen-klubu. Wtedy znów Hulewicz: „Jeśli tak jest, to tym gorzej". Stropiony delegat, widząc że i tak źle, i tak niedobrze, chce zejść w ogóle z linii boju, tłumacząc, że jego delegatura nie była oficjalna. Co? nie była oficjalna? Na takie tylko wyznanie podsądnego czekał p. Łaszowski. Jak ryś rzuca się z boku na oszołomioną ofiarę i wtapia w nią szpony: „Wynika stąd niezbicie — woła — że na kongres Pen-klubów pojechało dwóch delegatów (Parandowski i Nałkowska) i jeden... komiwojażer, tajny agent z ramienia Wiadomości Literackich. Oto jak przemyca się swoich

ludzi w układzie legalnym. Żart na bok. Wszyscy wiemy, że chodziło poprostu o sfinansowanie wyjazdu Słonimskiego za granicę".

Tak, panie Słonimski: żart na bok! Tam, gdzie chodzi o finansowanie wyjazdów i o subwencje, przeciwnicy pańscy postanowili być nieubłagani. Więc p. Łaszowski smaga swego podsądnego w dalszym ciągu, niczym prokurator Wyszyńskij swego Karola Radka.

„W obecnych warunkach politycznych trudno go było mianować delegatem oficjalnym, zwłaszcza, że Słonimski nie ma po temu kwalifikacyj umysłowych. Wiadomo: „kronika tygodniowa" nie jest towarem na eksport. Wiadomo też, że Słonimski zarabia dosyć, aby móc pojechać za własne pieniądze. To nie jest w porządku, proszę panów! Podobna filantropia wobec Słonimskiego budzi zastrzeżenia natury moralnej."

Otóż i w mgnieniu oka obrewidowano gościowi kieszenie. Jaka w tych endekach sprawność, jaka kompetencja — co?... Palce lizać!

Teraz, z kolei, i w Słonimskim, gdy go chwycono za portmonetkę, budzi się chęć odporu. Niestety, nie widząc, że się zeń tylko urągają, próbuje znowu się tłumaczyć. Przekonywa, że jednak udział jego w delegacj, choć nie oficjalny, nie był bezowocny. „Starałem się — mówi — wytłumaczyć p. Steinbergowi („żydłakowi" z kongresu), że Polski nie można oceniać na podstawie burd antysemickich, urządzanych przez jedną partię".

Co? — ponownie chwyta go za słowo p. Łaszowski. — Burdy antyżydowskie mają być dziełem jednej tylko partii? Ależ — w opinii endeckiej — znaczyłoby to tyleż, co zubażać kapitał zasługi narodowej, okradać Polskę z tego, co stanowi jej bezsporną chlubę.

Wyszydzony, „zbesztany od ostatnich" autor „Murzyna Warszawskiego", przestaje rozumieć, na jakim znajduje się świecie i jest już bliski łez. Przed chwilą skarcono go za to, że nie dobył ze siebie dość mocnego protestu, gdy w Paryżu obrażano Polskę pomawianiem jej o ekscesy antysemickie. Aż tu nagle okazuje się, że ekscesy te nie są bynajmniej wstydem dla endeka. Przeciwnie: mają być koroną jego narodowej dumy. Więc jakże? Więc za granicą należało protestować przeciwko temu, co się u siebie w domu uważa za zbawienie ojczyzny?

Czy to wszystko nie są jakieś obłąkańcze żarty? Słonimski przypomina sobie wreszcie, że jest humorystą z zawodu i — ażeby rozbroić przeciwnika — sięga do swej torby witzów. Chciałby cały spór zbagatelizować, zepchnąć na poziom śmiesznych plotek, wałkowanych w kuchni lub maglu.

I tym się nieborak dobija. Zapomniał, że inteligencja, reprezentowana przez kuchnię i magiel, to — najsilniejsza twierdza endecji, a zarazem świątynia jej kultu. Obrazić orientację takiej instytucji opiniodawczej, jak magiel, nie! tego endecy nie przebaczają. Precz z Polski! — woła p. Łaszowski do autora „Wieży Babel". „Czekamy tylko kiedy zakomunikuje nam termin wyjazdu. To się niedługo skończy, proszę panów. Święta polska cierpliwość ma swoje granice"!

Dano więc Słonimskiemu w endecji paszport z wizą wyjazdową. Czy choć teraz, gdy go wyobcowano z Polski, dadzą mu pokój? Ale gdzież tam! Teraz, gdy stoi odwrócony tyłem, teraz właśnie z rozjuszoną furią rzuca się nań p. Karol Irzykowski i p. Stanisław Piasecki, aby „na odchodnym" wlać mu już bez rachunku, na ślepo, tyle, ile wlezie... „W obecnych warunkach politycznych"— jak wyraża się p. Łaszowski — taki pościg będzie oczywiście bezkarny, a napewno mile widziany w sferach miarodajnych.

I oto pan Antoni Słonimski doczekał się wreszcie tego, czego chciał. Tu l'as voulu George Dandin! Bo, naprawdę, sam tego chciał, co go nawiedziło. Sam się podstawił ochoczo pod obfite razy.

Wszak on to właśnie, nie kto inny, wyszczerzył zęby na „Epokę", gdy swego czasu,[1]) orientując się o wiele trafniej od innych w nadchodzącym układzie stosunków, spróbowała nazwać po imieniu metody polemiczne, wnoszone przez endecję z poziomu straganów na pole literatury i publicystyki.

„Plecie się bez końca — obruszył się gniewnie wtenczas p. Słonimski[2]) — o „kapliczkach", o „straganach literackich", o zgniliźnie i bagnie, a trzeba wyraźnie powiedzieć, że stosunki w środowisku literatów są, jak dotąd, na poziomie znacznie przyzwoitszym, niż w innych środowiskach artystycznych... Pisarze zwalczają się przeważnie ze względów ideowych, i poziom moralny życia literackiego nie upoważnia do takich ryczałtowych obelg i kazań moralnych, jakie znajdujemy w „Epoce".

Że nasze ówczesne wystąpienie nie było czczym kazaniem moralnym, o tym p. Słonimski, sponiewierany teraz i skazany na banicję z Polski, przekonał się chyba dostatecznie na swej własnej skórze. Inna rzecz, czy i teraz pozostanie przy zdaniu, że jeśli go obmacano po kieszeniach i portmonetce, to tylko „ze względów ideowych". Jeśli odsądzono go od czci i wiary, to — na wysokim poziomie moralnym.

Ale wystąpienie „Epoki" nie było też, jak nam zarzucił felietonista „Wiadomości Literackich", aktem ryczałtowych potępień, miotanych na cały nasz świat literacki. Dowodem naszych skrupulatnych w tej dziedzinie rozróżnień było już to, że właśnie za punkt wyjścia swej oceny wzięliśmy uwydatnienie i obronę wartości, zawartych w utworze scenicznym jednej z najwybitniejszych poetek (Marii Jasnorzewskiej) niesłusznie a tendencyjnie i złośliwie „zjechanym" przez ogół recenzentów teatralnych z p. Słonimskim łącznie. Czyż zresztą może podlegać wątpliwości szacunek, jaki tu, na łamach „Epoki" żywimy dla wszystkiego, co w naszej literaturze i publicystyce jest talentem i charakterem — od Wacława Berenta do Władysława Kowalskiego; od Andrzeja Struga do Czuchnowskiego; od Marii Dąbrowskiej do Henryka Dembińskiego, Antoniego Wieczorkiewicza i Tadeusza Reka?

Domyślamy się wszakże, dlaczego p. Słonimski jeszcze pół roku temu wolał iść w tłumnej ciżbie tryumfującego konformizmu, niż zająć stanowisko godne samodzielnego pisarza. Biorąc udział w gromadnym ataku na „Epokę", łudził się, że wyjedna sobie w ten sposób list żelazny, zapewniający jeśli nie prawo obywatelstwa, to bezpieczeństwo w obozie rozzuchwalonej barbarii. Skoro takiemu Stanisławowi Piaseckimu, na przykład, 50 proc. żydostwa nie przeszkadza grać roli kapitana na boisku antyżydowskim, to p. Słonimski sądził, jak się zdaje, że jego 100 proc. nie będzie również przeszkodą — w obozie powszechnego zjednoczenia narodowego — dla roli choćby kaprala. Wszak Szczapa też jest Żydem, a był kapralem, i to w I Brygadzie.

Ale wszystkie te piękne marzenia p. Słonimskiego okazały się tyleż warte, co „względy ideowe", które były ich natchnieniem. Murzyn warszawski odrobił robotę, ale nie otrzymał nagrody. Przeciwnie sam na sobie doświadczył całego repertuaru tych rycerskich chwytów, których z całym zapałem bronił wówczas, gdy godziły w innych.

Dlatego to dzisiaj mamy prawo doń powiedzieć z głębokim współczuciem: „Sam chciałeś tego, Antoni Dyndało"!

A. Grot.

---

[1]) Por. „Epoka", nr. 11: „A. Słonimski — nieproszony obrońca".

[2]) Por. „Wiadomości Literackie" nr. 21: „Kronika Tygodniowa".

OD WYDAWNICTWA.

Abonentów, którzy zalegają z opłatą prenumeraty za kwartał bieżący, prosimy o bezzwłoczne uregulowanie należności.

Po 19 latach znowu 14 punktów

Historia czasem dziwnie powtarza się. Wprawdzie nie ma mowy o kopii fotograficznej wydarzeń, ale pewien kompleks wypadków, ich przyczyn i skutków bywa bliźniaczo podobny do faktów z przeszłości.

Spostrzeżenie to przyjść musi na myśl, gdy czyta się teraz od czasu do czasu odpowiedzi 40 państw, do których sekretarz departamentu stanu Hull skierował w d. 16 lipca 1937 r. notę zawierającą postulaty zdaniem rządu prezydenta Roosevelta nieodzowne dla prowadzenia polityki pokojowej.

Hull wzorem wielkiego prezydenta Wilsona sprecyzował swoje stanowisko w 14 punktach. W ten sposób symbolicznie Stany Zjednoczone przypomniały o pamiętnych 14 punktach Wilsona, które poprzedziły udział wielkiej demokracji amerykańskiej w wojnie, a co zatym idzie klęskę państw centralnych, upadek imperiów Habsburgów i Hohenzollernów. Orędzie prezydenta Roosevelta z d. 8 stycznia 1918 r. w Niemczech cesarskich wywołało drwiny i szyderstwa. W parę miesięcy później, miesięcy wypełnionych bezlitosną wojną podwodną, rozbite armie gen. Hindenburga i Ludendorffa błagały rząd, aby na podstawie 14 punktów Wilsona zawarł corychlej pokój. Zatopienie „Lusitanii" nie zapewniło Niemcom zwycięstwa.

Dziś 14 punktów sekr. st. Hulla dyplomacja niemiecka powitała wprawdzie grzecznie, nie ośmieliła się ich odrzucić Owszem w zasadzie przyjęła je jako pożądane, ale w odpowiedzi swej taksamo jak i niektóre inne państwa nieświadomie może, ale wyraźnie zajęła stanowisko wprost sprzeczne z inicjatywą amerykańską.

Nie mogło być inaczej, bo 14 punktów Hulla — to ujęte nieco bardziej ogólnikowo dawne 14 punktów Wilsona. Każdy z nich jest jak gdyby tezą odwrotną założeń polityki hitlerowskiej. Spłacając przez obłudę daninę cnocie politycy hitlerowscy nie mogli się do tego przyznać otwarcie. Utrzymanie pokoju i wyrzeczenie się wojny — proponuje Hull w myśl zawartych dotychczas umów i paktów. Cóż ma zrobić rząd III Rzeszy z takim żądaniem? Albo wyrzeczenie się interwencji do spraw wewnętrznych innych państw? Co ma począć z taką zasadą rząd, który ma w swym programie Anschluss i szczyci się tym, że posyła „ochotników" do armii gen. Franco?

Poszanowanie zawartych umów, usunięcie przeszkód w handlu wymiennym, ograniczenie zbrojeń — oto postulaty, jak widzimy nie nowe i proste p. Hulla. Każdy z nich godzi w politykę rządu III Rzeszy, każdy z nich jest z nią w zasadniczej kolizji. Cóż wobec tego pozostało politykom z Wilhelmsplatzu? Napisał, że i według rozumienia niemieckiej polityki zagranicznej złagodzenie namiętności w stosunkach pomiędzy państwami winno poprzedzać powszechne unormowanie stosunków międzynarodowych. A więc — brzmiał wniosek Auswärtiges Amt'u — stanowisko nasze jest podobne do poglądów kierownictwa polityki zagranicznej U.S.A. Słusznie zauważa „Neuer Vorwärts", analizując tę odpowiedź hitlerowską, że podobne mniej więcej tak, jak 40-centymetrowy pocisk do oliwnej gałązki pokoju. Jako przykład tego „łagodzenia namiętności" przytacza wspomniane pismo Guernicę i Almerię. Dodajmy teraz do tego zjawisko przypominające właśnie szczególniej wydarzenia z 1918 r., a mianowicie wojnę na morzu Śródziemnem, prowadzoną od pewnego czasu przez Włochy i Niemcy, analogicznie do wojny podwodnej, którą toczył w swoim czasie von Tirpitz, a będziemy mieli obraz powtarzania się zjawisk.

Zdaje się, że nie ma już teraz wątpliwości, iż na przestrzeni Morza Śródziemnego od Gibraltaru aż do Dardanellów „tajemnicze" jednostki floty wojennej tamują swobodę żeglugi, zatapiają statki handlowe, niszczą towary, mordują załogi. Działają nie tylko łodzie podwodne, ale i torpedowce i wreszcie samoloty bombowe.

Na razie świat jak gdyby pogodził się z tym zjawiskiem, ale są to tylko pozory. Francja i W. Brytania już wydały rozkazy o bezwzględnym tępieniu korsarzy. Jeszcze tu i owdzie prowadzi się śledztwa dla ustalenia, kto jest winien: w Gibraltarze, w Stambule zasiadają rzeczoznawcy marynarki i usiłują stwierdzić niezbicie, kto zacz są ci, którzy grasują na drodze do Indii. Z tłumikiem na ustach mówi się na ten temat w Anglii, bo podobno powstała jakaś możliwość wyrównania przeciwieństw między Włochami a W. Brytanią. Sam Mussolini oświadczył w Palermo, że może być znaleziony kompromis między „drogą" a „życiem". Morze Śródziemne dla W. Brytanii — do droga, dla Włoch — to życie. Ale że w tym kompromisie nie mieści się swoboda grasowania bezkarnego floty wojennej niemieckiej na morzu Śródziemnym i że mare Nostrum włoskie nie może sięgać poza granice ugody z Anglią, o tym przypominają bardzo systematyczne zbrojenia brytyjskie we wschodniej części Morza Śródziemnego. Plany z czasów Hoare'a, aby wyrzec się drogi do Indii wzdłuż wybrzeży Europy i Azji, a ograniczyć się do okólnej a bezpiecznej marszruty dokoła Afryki przez Przylądek Dobrej Nadziei już zostały porzucone. Famagusta na Cyprze, Haifa w Palestynie, porty niezależnego Egiptu, wszystko to zbroi się i przygotowuje do obrony wolności mórz, pomimo rozbudowy floty włoskiej, pomimo sukcesów lotnictwa włskego. W Rzymie wiadomo o tym bardzo dobrze. Na tym tle ostrożne 14 punktów sekr st. Hulla, które usiłowano gdzieniegdzie zasłonić rozważaniami filozoficznymi lub jak w odpowiedzi niemieckiej obłudnymi ogólnikami nabierają właściwej wartości.

W Białym Domu będą czytać nadchodzące odpowiedzi bardzo uważnie. Ankieta zarządzona tam ma dla prezydenta Roosevelta doniosłe znaczenie. Nie kryje się on przecież z tym, o co mu chodzi. Niedawno, gdy zabrał głos publicznie i rozprawiał się ze swoimi przeciwnikami w polityce wewnętrznej, oświadczył wyraźnie: chcę demokracji na świecie, tylko demokracji i jeszcze raz demokracji. Ta właśnie miara przyłożona będzie do otrzymanych odpowiedzi.

Odpowiedzi na pytanie, kto z demokracją, a kto przeciw niej domaga się życie coraz bardziej. Gdzie tylko życie publiczne nie zostało zdławione przez dyktaturę, tam opinia uważa odpowiedź na to pytanie za palącą dla dobra swojego kraju i narodu. W myśl tego rozległy się ostatnio na Węgrzech, wciąż stojących jeszcze na drodze odwrotu od dyktatury i powrotu do prawa dwa charakterystyczne głosy. Przemawiał pos. Eckhardt przywódca stronnictwa drobnych rolników, zabierał głos hr. Bethlen — przedstawiciel konserwatystów.

Pierwszy z nich mówił: „Są szaleńcy, którzy sądzą, że ograniczenie wolności osobistej leży w interesie ogółu. Tego rodzaju powiedzenie jest obrazą dla narodu węgierskiego. Społeczność ludzka jest czymś doskonalszym od gromady mrówek właśnie dla tego, że największą wartością ludzką jest wolność osobista i swoboda woli. Życie w państwach totalnych równa się życiu mrówek. Totalizm odrzuca swobodę ludzką, wkracza do życia rodzinnego. My, Węgrzy chcemy trzymać się mocno przyrodzonych boskich i ludzkich praw wolności..." Tak mówił przedstawiciel umiarkowanej opozycji chłopskiej.

A b. premier, ziemianin i konserwatysta, w tym samym czasie oświadczył: Ostatnie lat 20 dowiodło, że Węgry nie potrzebują podpórki — dyktatury. Zupełnie błędnym jest twierdzenie, że powinniśmy iść za przykładem Włoch i Niemiec, gdyż w polityce międzynarodowej opieramy się na tych państwach..."

Hr. Bethlen wypowiada się za demokracją. Czyni tylko jeden błąd: wydaje mu się, że można opierając się o faszyzm i hitleryzm w polityce zagranicznej, iść za demokracją — w polityce wewnętrznej. Są to przeciwieństwa nie do pogodzenia. I każdy, kto uważnie przeczytał odpowiedzi na ankietę sekr. stanu Hulla, raz jeszcze o tym przekona się.

A więc albo 14 punktów Wilsona — Hulla i demokracja, albo — polityka wojenna i dyktatura.

St. Grostern.

**
*

Sprostowanie. W Nr 16 „Epoki" w artykule p. t. „Fikcje i fałsze rzekomego realizmu" na str. 13 zakradł się błąd drukarski. Wydrukowano: „Tak prysła fikcja realnej polityki miłośników paktów *bałkańskich*, przeciwstawiających skuteczność i trwałość polityce bezpieczeństwa zbiorowego..." Winno być: „Tak prysła fikcja realnej polityki miłośników paktów *bilateralnych*, przeciwstawiających skuteczność ich i trwałość polityce bezpieczeństwa zbiorowego..."

H. G. Wells

„I ja też byłem hitlerowcem"

W kolosalnym dorobku pisarskim znakomitego autora „Krótkiej Historii Świata" kto wie, czy nie jedno z czołowych miejsc zajmie niedawno przezeń ogłoszona „Próba autobiografii". Ta próba własnego życiorysu, pisana z nieustraszoną odwagą szczerości, to — dzieje człowieka, który, przyszedłszy na świat w skromnych i nawet upośledzonych warunkach bytu przebił się przez zapory i przesądy swego środowiska, aby stanąć w pierwszym szeregu przewodników wolności i szermierzy postępu. Światła jego książka napróżno jednak czeka na spolszczenie i wątpić można, czy w obecnych warunkach zalewu obskuranckiego, jaki przez kraj nasz się przewala, znajdzie wśród księgarzy śmiałka, który zaryzykuje jej wydanie.

EPOKA, chcąc Czytelnikom swoim udostępnić choćby fragmenty tej głębokiej krytyki, jakiej Wells poddaje rzeczywistość współczesną, zamieszczać będzie, w miarę możności, niektóre ustępy jego „Autobiografii". Na początek dajemy kartę — jakże znamienną! jak wiele nasuwającą wniosków! — odtwarzającą obrazek jego przeżyć z okresu, gdy był 13-letnim chłopcem. Może ten początek zachęci kogoś z naszych księgarzy do ogłoszenia całości doniosłego dzieła.

EPOKA.

Był to okres, w którym ze wszech stron budzono we mnie przekonanie, że urodzić się Anglikiem — to wielkie szczęście. Umysłem moim owładła świeżo ogłoszona podówczas (r. 1874) „Historia narodu angielskiego" Green'a. Pod jej wpływem, wywieranym bądź bezpośrednio, bądź ubocznie, zacząłem skwapliwie chłonąć ideę, że byłem „jasnowłosym nordykiem" o błękitnych oczach, istotą ludzką zrobioną z jak najlepszego tworzywa. Anglia świadomie podówczas stylizowała się na kraj teutoński. Zgodnie oddziaływały w tym kierunku dwór królewski oraz modna filozofia Tomasza Carlyle'a.

Mówiliśmy wtedy o naszej „domieszce celtyckiej", nie doceniając naszego podłoża celtyckiego, a klęska Francjii w r. 1870 — 71 pokonanej przez Prusy wydała się nam ostatecznym pogromem schyłkowej rasy łacińskiej.

Ten sposób myślenia splatał się wybornie z dążnością antykatolicką, z wrogą Rzymowi postawą, zaszczepioną przez wychowanie protestanckie w. XVIII, postawą wrogą i nieufną, która zachowała swą żywotność nawet wtenczas, gdy wiele innych pierwiastków tego wychowania uległo zanikowi. My, Anglicy, głosiły główne tezy owej edukacji, zdobyliśmy swe rozległe imperium jedynie mocą swej wrodzonej wyższości, niemal bez nakładu wysileń; imperium, w którym nie zachodziło słońce. Błędy zaś i ułomności innych ras przymuszały nas powoli lecz niezłomnie, i z całym poczuciem skromności, brać w posiadanie berło władzy nad światem.

Wszystko to było mocno ustawione w mej głowie, gdym z tornistrem na plecach wędrował ze szkoły do domu, i gdybyście wtenczas byli pokazali mi księcia rosyjskiego lub indyjskiego maharadżę w pełni jego chwały, twierdząc, że są to moi bliźni, byłbym roześmiał się wam w nos, albo może popadłbym we wściekłość.

W zakresie dziejoznawstwa wystarczyć musiała mi historia Anglii, która po kilku stuleciach nieustannych zbrodni królewskich, okrutnych walk domowych i wojen we Francji dokonała Reformacji i rozwinęła się w imperium. Co do geografii, to i w tej dziedzinie wiedza moja zamykała się niemal bez reszty w granicach Wielkiej Brytanii. Dopiero później, dzięki przypadkowej, pozaszkolnej lekturze, zacząłem się domyślać, że ogromnie dużo rzeczy zaszło i ogromnie dużo rzeczy ciekawych istniało poza obrębem świata brytańskiego. Wszelako ryciny rzymskiego Kolosseum albo Piramid egipskich oglądałem w tym samym prawie nastroju, w jakim czytałem opowieści o cudach inteligencji zwierzęcej (bobry, pszczoły, gniazda ptasie). Nie zachwiały one mego głębokiego zadowolenia z siebie, z mojej gminy, z mego narodu, z imperium angielskiego oraz z widoków, które się przede mną otwierały.

W owym czasie miałem poglądy Ariów, nadzwyczaj podobne tym, które dziś głosi hitleryzm. Im więcej się informuję, tym bardziej jestem przekonany, że umysłowość hitleryzmu jest prawie bliźniaczo podobna do mojej z owej doby, gdy miałem lat trzynaście i chodziłem do szkoły, około r. 1879 — ale, oczywiście, z tą różnicą, że hitleryzm dzisiejszy jest wyposażony w głośniki i w środki praktycznego działania. Nie pomnę już, z jakiej książki zaczerpnąłem

swą pierwszą wizję wielkiego ludu Ariów, błądzącego wśród środkowych równin Europy, rozprzestrzeniającego się jednocześnie na wschód i zachód, ku południowi i północy; odmieniającego swe samogłoski zgodnie z prawem Grimma i odpychającego niższe rasy w pustkowia gór. Faktem jest, że tworzyli oni jakby ramy malownicze dla nudnych zdarzeń historii starożytnej. Ich tryumf ostateczny załatwiał nasze rozrachunki z Żydami, owym ludem, przeciw któremu żywiłem niechęć podświadomą z powodu ich przeważnego uczestnictwa w scenach ewangelii. Abrahama, Izaaka, Mojżesza i Dawida uważałem za kreatury nienawistne, za godnych partnerów Jehowy, ale w przeciwieństwie do Hitlera nie miałem żadnego stosunku uczuciowego do Żydów współczesnych. Sporą liczbę moich kolegów szkolnych stanowili Żydzi, ja zaś nie zdawałem sobie z tego sprawy. Mój najlepszy przyjaciel, Sidney Bowket, był, jak mniemam, Żydem, lecz sprawa ta była dla nas obu zawsze obojętna.

Marzenia moje — do lat piętnastu czy szesnastu gubiłem się w snach i marzeniach, gdyż czynna wyobraźnia moja nie miała wtenczas innego ujścia — obracały się wokół jednego ulubionego tematu: marzyłem, że stanę się wielkim dyktatorem wojskowym, jak Cromwell, wielkim republikaninem, jak Jerzy Waszyngton, albo jak Napoleon w swej pierwszej fazie. Staczałem bitwy podczas wszystkich swych samotnych przechadzek. Zazwyczaj, jako mały chłopiec, raczej źle odżywiany, źle ubrany, pogwizdując czelnie, przechadzałem się po swej rodzinnej mieścinie (Bromley), i nikt nie mógłby przypuścić, że za mną jechał konno widmowy sztab główny, że zastępy wyśnionych żołnierzy cwałowały pod moimi rozkazami, aby zmienić stanowiska armat i skupić ogień na tych tam domkach w dole, aby uderzyć szturmem na ten tam wzgórek na widnokręgu. Mieszkańcy małego miasteczka, którzy wychodzili, aby odetchnąć świeżym powietrzem i spoglądali na pola przez które sączyła się rzeczka (dziś już zasypana) nie mieli najlżejszego pojęcia o krwawych orgiach, jakim się w rojeniach swych oddawałem. Ów wzgórek na widnokręgu moich lat trzynastu — to było, doprawdy, jedno z największych pobojowisk historii. Niezliczoną ilość razy tyralierzy nieprzyjacielscy ponawiali atak na równinie, wspierani kolejnymi falami piechoty, gdy tymczasem ja, stojąc w obliczu sił pięciokrotnie większych, manewrowałem artylerią, artylerią, której nie chciałem użyć za wcześnie, mimo niebezpieczeństwa, grożącego mojemu centrum, a która nagle wyciągała się na zboczu owego decydującego wzgórka. Pierwszy pocisk padał z przeraźliwym trzaskiem, potym drugi... i trzeci... Działa moje kosiły wrogów, jak murawę. Rozproszyli się oni po stokach. I teraz przychodził kontr-atak. Kawaleria moja, ja zaś na jej czele, siedliśmy nieprzyjacielowi na kark. Nastała noc, lecz my nie przerywaliśmy pościgu. Zbliżał się świt, gdy żałosne resztki, gonione przez nas, zdały się na łaskę. W promieniach poranku, jak w chwale wjeżdżałem, wiodąc zwycięskie wojsko, do miast zdobytych albo do miast oswobodzonych: moi krewni i moi koledzy szkolni, wychylając się z okien, witali tryumfatora i w tryumfatorze ze zdumieniem paznawali — mnie! A tymczasem królowie i prezydenci, mocarze świata, śpieszyli z hołdem, aby dzięki złożyć swemu zbawcy. Ja pozostałem skromny i prosty nawet na szczycie sławy. Wydawałem mądre i nieugięte zarządzenia, dotyczące moralności i obyczaju, zwłaszcza zaś owych wielkich magazynów, które doprowadziły ojca mego do bankructwa. W stosunku do zastarzałych wrogów, monarchistów, katolików oraz nie-Ariów, zająłem stanowisko sprawiedliwe i surowe. Było to zadanie twarde, ale była to moja powinność...

Doprawdy: hitleryzm dzisiejszy jest niczym więcej jak jednym z moich marzeń trzynastolatka, które się urzeczywistniło. Całe jedno pokolenie Niemców zatrzymało się w rozwoju poniżej wieku dojrzałości*).

W głowie mojej roiło się podówczas od podobnych idej. Co jednak na szczególną zasługuje uwagę, to fakt, że umysł mój, opanowany zawieruchą starć międzynarodowych, bitew lądowych i morskich, sojuszów i zatargów sąsiedzkich, był całkowicie obcy pojęciom, związanym z mechaniką pieniądza, był zupełnym nieukiem w zakresie zjawisk i praw życia gospodarczego. Nigdy nie roiłem o tym, aby, naprzykład, budować kanały lub wznosić tamy wodne, użyźniać pustynie lub żeglować w powietrzu. Żadnego nie miałem pojęcia o zagadnieniu komunikacji i transportu, nie wiedziałem a przeto i nie interesowałem się tym, w jaki sposób murowane są domy, w jaki sposób w żywność zaopatrywane są miasta. Przyczyna tej ignorancji tkwiła, sądzę, w tym, że nie istniało nic, coby mogło ściągnąć i pokierować uwagę chłopca w stronę zagadnień gospodarczo-społecznych. Nie było literatury, którąby te zagadnienia oraz związane z nimi zjawiska oświetlała i zbliżała ku młodzieży. Nie myślę bowiem, aby w wyobraźni chłopięcej i młodzieńczej istniała przyrodzona skłonność do krwi rozlewu; jedyną wszakże rzeczą żywą i natchnioną, jaką karmiła mnie historia, były wojny i podboje.

W ciągu długich lat, gdy już stałem się człowiekiem dorosłym, nie przestawały mnie nawiedzać osłabione lecz niezatarte wspomnienia tych pierwszych rojeń wojowniczych. W latach owych spotykałem mężów, zajmujących wysokie stanowiska w państwie i społeczeństwie, jak Winston Churchill, George Trevelyan, C.F.G. Mastermann, mężów, których wyobraźnia była wykształcona najwidoczniej na wzorach podobnych, i którzy w swoich poglądach politycznych zatrzymali się na poziomie chłopięcym wskutek uporczywości ich najwcześniejszych wspomnień. Z upodobaniem myślę o tym, że poziom ów przekroczyłem między r. 1916 a 1920, w owych latach, gdym po raz pierwszy spojrzał na wojnę tak, jak patrzeć na nią powinien człowiek dojrzały.

H. G. Wells.

---

*) Jeśli Wells całą ideologię „narodowego socjalizmu" mieści w granicach niedowarzonej fantazji 13-letniego chłopca, to cóż powiedzieć o tych, którzy ową ideologię naśladują? I którzy, biorąc ją z drugiej ręki, ręki niedorozwiniętej, podają swemu krajowi, jako szczytowy wykwit cywilizacji? Cóż powiedzieć o takich dziennikach, jak „ABC", lub w ogóle o całej prasie sanacyjno-endeckiej, która, zapatrzywszy się w hitleryzm, chełpi się tym, że ma za sobą młodzież? Tak, ma za sobą pewną (niezbyt znaczną) część młodzieży, ale sama stanęła poza nawiasem kultury. Ma za sobą młodzież, ale zaniedbaną w rozwoju, zamrożoną na poziomie małoletnich, rezygnująca z podbojów umysłu, z głębszej wiedzy o świecie i o własnym kraju, o jego życiu gospodarczym i społecznym.

JEST NAS WIĘCEJ...

Na rynku księgarskim ukazała się ogromnie interesująca *powieść dla młodzieży* Bolesława Piacha p. t. „Nas jest więcej...", traktująca o młodocianych przestępcach. Ale, zgodnie z przysłowiem „nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka", tej książce przygód na samym wstępie jej kariery literackiej przytrafiła się również przygoda: wydawnictwo — nauczycielska „Nasza Księgarnia" — nie zaopatrzyło jej w dokładny adres, nie powiedziało w podtytule, że przeznacza ją dla kilkunastoletnich, in spe lub de facto poróżnionych z kodeksem karnym, „milusińskich", lecz puściło ją w świat samopas z ojcowskim, acz bezdźwięcznie wyrażonym, błogosławieństwem, by sama sobie utorowała drogę i dotarła tam, gdzie trzeba. Ostatecznie, to przeznaczenie nie jest pozbawione swoistego wdzięku: któż właściwie, ma podtrzymywać piękną tradycję roztargnienia, płynącego z nadmiaru pracy umysłowej, jeśli nie ze wszech miar sympatyczny stan profesorski?

Sądzimy jednak, że w tym wypadku autor i czytelnicy nie zżymali by się bynajmniej, gdyby tradycji nie stało się zadość. Bo wyobraźmy sobie sytuację taką. Książkę dostaje do rąk osoba dorosła, nauczycielka lub zwykły sobie, wisusami obarczony, pater familias; od pierwszego rzutu oka domyśla się on (przypuśćmy!), że to nie jego głównie miał autor na oku, lecz tych niedorostków, którzy mu ciekawie zaglądają przez ramię w czasie lektury; i oto staje przed trudnym dylematem: dać im „to", czy nie dać? Oficjalnego przyzwalającego stempla na książce jakoś niema. Rad nie rad musi tedy we własnym — przesądami naszpikowanym — sumieniu rozstrzygnąć zaiste niełatwą dlań kwestję, czy godzi się narazić na szwank niewinną — jak mu się zdaje — zupełnie nie świadomą spraw tego świata i jego pokus duszyczkę maleństwa przez udostępnienie mu tej niepokojącej książki, która zbyt wiele prawdy zdaje się mówić o rzeczywistości, by mogła „naprawdę" oddziałać wychowawczo, czy też może lepiej będzie zamarynować tę duszyczkę w jej jakże bardzo problematycznej „niewinności". A przecież tej, pełnej pro i contra, medytacji, można było pedagogom z powołania i z amatorstwa oszczędzić, lub przynajmniej wydatnie ją uprościć, przy pomocy maleńkiego nihil obstat.

Ta nagła a niespodziewana tęsknota za autorytetem może się niejednemu wydać dziwactwem; ale czyż jest nim naprawdę? Zobaczymy. Bardzo długo, z gorliwością godną lepszej sprawy, i z nader „pomyślnym" skutkiem, wbijano społeczeństwu przekonanie, że prawda — sobie, a ideały wychowawcze— też sobie; że zbyt dokładny wgląd w tzw. bolączki społeczne zawiera w sobie możliwość zdeprawowania wglądającego; że „ciekawość pierwszy stopień do piekła"; że tylko mdły preparat, przyrządzony z „odpowiednio" dobranych oraz „umiejętnie" przefiltrowanych i odbarwionych fakcików, może pójść na zdrowie tym królikom doświadczalnym, w potocznej mowie zwanym dziećmi; że instytucja, takimi czy innymi funkcjami społecznymi obarczonych, bocianów jest wciąż i nadal poprostu niezbędną częścią składową tzw. „pomocy szkolnych"; że te bociany należy otoczyć tak czułą opieką, jak nie przymierzając żubry białowieskie. Czy sądzą panowie pedagodzy, że dewastacja mózgów da się tak z dnia na dzień odrobić i to bez ich czynnej a rzetelnej współpracy?

Dużo jeszcze wody upłynie, zanim ludzie nawykną do myśli, że *tylko prawda działa umoralniająco* — i samo z siebie to się nie zrobi. Z tej racji pozwalam sobie niniejszym złożyć oświadczenie, że powieść Bolesława Piacha jest książką par excelence — i właśnie w odniesieniu do młodzieży — moralizatorską.

„To znaczy — nudną?" — gotów zapytać czytelnik, którego zbyt długo karmiono smoczkiem fałszywego podziału na „moralne" i „prawdziwe". Bynajmniej, książka posiada fabułę przykuwającą. (Czy wielu współczesnym powieściom dla dorosłych, nawet wysoko kwalifikowanym pod względem artystycznym, można przypisać tego rodzaju walor?). Jest w niej „czego dusza zapragnie": niefortunna wycieczka do Gdyni jednego z młodocianych bohaterów na „pożyczonym" rowerze, melina złodziejska, której gros „obsady" stanowią nieletni, efektowne włamanie do restauracji na Pradze, sąd dla nieletnich, dom poprawczy, a wreszcie zetknięcie się niektórych przestępców ze światłymi wychowawcami, ułatwiające im opuszczenie tego marginesu społecznego, który stał się na pewien czas ich smutnym udziałem oczywiście nie dzięki jakimś zbrodniczym a przyrodzonym popędom, lecz wyłącznie z winy starszego społeczeństwa.

Ta strona problemu, ogromnie ciekawa już tym razem dla czytelników dorosłych, potraktowana została w powieści ze szczególną dyskrecją. Mała Danusia wnosi do swego dzienniczka następujące godne uwagi rozważania: „Pewnie, że to bieda robi z dzieci przestępców, ale to nie wszystko. Bardzo ważne jest *wychowanie dzieci* (podkr. nasze). Nas teraz wychowuje pani Zofia. Ona ma dwadzieścia parę lat, a uczyła się kilkanaście lat zanim została wychowawczynią. Za to mój ojciec umie tylko czytać i pisać, a mama nawet tego nie umiała. Więc skąd tacy ludzie mają wiedzieć, jak trzeba wychowywać dzieci, jak trzeba w nich wyrabiać ten charakter i tę silną wolę... Oni wiedzą tylko tyle, że jak dziecko jest niegrzeczne albo im w czymś przeszkadza, to trzeba je zbić. A jak im jest źle w życiu, to jeszcze więcej biją dziecko. A jak im jest tego dziecka żal, że się tak razem z nimi męczy, to znowu je biją ze złości, że nic na to nie mogą poradzić". A oto inny fragment: Danusia i Wacek, ci, którzy przestępczość pozostawili za sobą, spotykają dawnego kompana z meliny, Jurka, który już na amen wciągnął się w fach złodziejski a nawet w nim rozsmakował. I ten Jurek powiada do nich: „Chcę tylko, żebyś zrozumiał, że to, co się teraz z tobą dzieje, mogło się tak samo dobrze dziać ze mną, albo z Józkiem... Nie mieliśmy szczęścia i tyle. A takich, co nie mają szczęścia... jest więcej, grubo więcej, niż takich jak ty i Danusia".

Edward Słucki.

EPOKA nie jest jednodniówką. EPOKA jest myślą ciągłą, która snuje się poprzez wszystkie numery. Dlatego, aby ją należycie rozumieć, trzeba czytać ją stale.

Imponująca manifestacja postępu

Międzynarodowy kongres nauczania początkowego i oświaty ludowej, który odbył się w Paryżu w dniach 23 — 31 lipca r. b. stał się olbrzymią manifestacją postępowej myśli pedagogicznej. Zorganizowany przez nauczycielstwo francuskie objął kongres przeszło 3.000 delegatów i uczestników niemal ze wszystkich krajów świata. Z referatami wystąpili najwybitniejsi uczeni i pedagogowie, zaś rząd francuski udzielił całkowitego poparcia i wystąpił na inauguracyjnym posiedzeniu w dn. 23.VII. w wielkiej sali pałacu Mutualité z przemówieniami swych trzech najwybitniejszych ministrów.

Po krótkim zagajeniu wystąpił z dłuższą mową vice-premier Francji Leon Blum, podkreślając trwałe zdobycze szkolnictwa demokratycznego, będącego niewzruszoną podstawą ustroju demokratycznego.

Minister oświaty Jean Zay podniósł konieczność opieki nad dziećmi przez danie im możliwości bezpłatnego i wszechstronnego wykształcenia, witając serdecznie uczestników kongresu. Zapewniał minister Zay, że demokratyczne szkolnictwo francuskie będzie dążyło do wychowania świadomego twórcy nowych form zbiorowego życia społeczeństw.

Właściwe obrady kongresu odbywały się w 8 sekcjach: 1) filozofii nauczania, 2) psychologii i socjologii w zastosowaniu do nauczania, 3) metod nauczania, 4) wychowania narodowego i współpracy międzynarodowej, 5) przygotowania nauczycielstwa, 6) urządzeń szkolnych, 7) zastosowań technicznych w szkole i 8) wychowania ludowego. Niemal wszystkie referaty wnosiły coś nowego, niektóre oparte na długoletnim doświadczeniu pedagogicznym były świadectwem postępu w dziedzinie wychowania. W sekcji I wygłosił ciekawy referat Rosset, dyrektor departamentu Ministerstwa Oświaty „O ogólnych zadaniach nauczania początkowego i oświaty ludowej we Francji", wskazując na ostatnie osiągnięcia w postaci powszechnej szkoły 10-letniej i szeroką sieć oświaty pozaszkolnej. Poseł G. Cogniot, sprawozdawca budżetu oświaty w parlamencie francuskim wygłosił ciekawy komunikat „O ideologii demokratycznej w nauczaniu i jej przeciwnikach", cofając się w przeszłość aż do w. XVI i wykazując zwalczanie się tych dwóch ideologij nauczania: postępowo-demokratycznej i wstecznej u schyłku wieku XVIII i w dobie Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Znakomity uczony francuski prof. Sorbonny Langevin omówił rolę „Humanizmu i racjonalizmu we francuskiej szkole publicznej".

Ciekawą próbą był zbiorowy odczyt p. t. „Od Comenius'a do Massaryka" wygłoszony przez czeskiego ministra oświaty Franke, profesora uniwersytetu w Pradze Prihodę, przewodniczącego związku nauczycieli czeskich Vlasaka, profesora uniw. w Bratysławiu Tyrdego i przedstawiciela Biblioteki Pedagogicznej Kratochvila, którzy scharakteryzowali najwybitniejszych pedagogów czeskich począwszy od słynnego mistrza Comeniusa, który nowe utorował drogi myśli pedagogii, aż do współczesnego niedawnego prezydenta Republiki Czeskosłowackiej prof. Massaryka.

Te postępowe poglądy czeskich reformatorów zostały urzeczywistnione we wzorowym szkolnictwie Republiki Czeskosłowackiej, którego dewizą są nieśmiertelne hasła: „Wolność, Równość i Braterstwo". Spośród wielu referatów wygłoszonych na sekcji I największą liczbę słuchaczy ściągnął referat rektora uniwersytetu w Madrycie Gaosa „O oświacie w czasie II republiki hiszpańskiej" i przedstawiciela Związku Nauczycieli hiszpańskich Vdala, który omówił wielką rolę oświaty w dziele budowania nowego porządku. Oczywiście w ogniu walki trudno o urzeczywistnienie jednego z najbardziej postępowych planów oświatowych, opracowanego przez ministra oświaty ludowej J. Hernández'a i syndykat nauczycielstwa hiszpańskiego. Mimo to jednak pierwsze próby zostały już teraz rozpoczęte i powstały nowe szkoły w Hiszpanii Ludowej.

W obradach sekcji II brali udział najwybitniejsi uczeni, jak np. Piaget, prof. uniw. w Genewie i dyrektor Międzynarodowego Biura Wychowania, który wygłosił odczyt „O logice dziecięcej", prof. Charlotte Bühler i in. Do najciekawszych należał referat prof. uniw. paryskiego Lahy-Hollebecque, znakomitej organizatorki Domu Dziecięcego w Paryżu, która dała wnikliwą i subtelną „Charakterystykę życia społecznego dzieci".

Metody nauczania, będące przedmiotem obrad sekcji III, były często ilustrowane filmami, wyświetlanymi dla uczestników obrad. Do najciekawszych należał referat C. Freinet'a, dyrektora i organizatora Nowej Szkoły w Vence, który mówił o drukarniach szkolnych. Próba Freinet'a zastosowania drukarstwa w szkole dała imponujące rezultaty, dzieci same drukują i redagują ciekawe pisemko dla dzieci „La gerbe" — „Snopek", ukazujące się dwa razy w miesiącu.

Niektóre z tych tomików zawierają bogaty materiał, odnoszący się do poszczególnych zagadnień, jak np. tomik 11 zatytułowany: „L'enfant á l'école et dans la rue" — „Dziecko w szkole i na ulicy", tomik 16 p. t. „Mers et cours d'eau" — „Morza i bieg wód" lub bardzo ciekawy i oryginalny tomik 24 p. t. „Historie du pain" — „Historia chleba", zawierający bogaty materiał o chlebie od czasów najdawniejszych.

W sekcji IV wygłosili referaty prof. Bouglé „O międzynarodowej solidarności intelektualnej", Ch. Sénéchal omówił znaczenie „Sztuki i literatury świata w dziele wychowania międzynarodowego", prof. uniwersytetu w Madrycie Altamira podkreślił „Solidarność międzynarodową w nauczaniu historii". Sekretarz Związku im. Montessori (znakomitego pedagoga włoskiego) i profesor uniwersytetu w Amsterdamie Jordan określił doniosłą rolę „wychowania wolnościowego w nauczaniu", wskazując na wyniki osiągnięte w Holandii. Wyczerpująco omówili rolę korespondencji między dziećmi w różnych krajach p. Butts z Międzynarodowego Biura Wychowania, Brunot i Zoretti, wskazując na ciekawe wyniki tej nowej dziedziny prac szkolnych. Wyniki osiągnięte we współpracy kulturalnej Wschodu i Zachodu zreferował w swym ciekawym referacie Prezydent Uniwersytetu w Peipingu Li-Yu-Ying oraz profesor pedagogiki uniw. w Pekinie Ou-Tsuin Chen. Wreszcie w zbiorowym referacie p. t. „Nauczycielstwo i wychowanie dla pokoju" Lapierre, sekretarz gen. związku nauczycielstwa francuskiego, Anglicy Patten i Adams i Russell ze Stanów Zjednoczonych A. P. wskazali na pracę pokojową nauczycielstwa, jej znaczenie i rolę w świecie współczesnym.

Posiedzenie końcowe kongresu odbyło się w wielkiej auli Sorbony w dniu 29.VII. pod przewodnictwem min. Zay'a i przewodniczącego Izby Deputowanych Edwarda Herriot'a.

Michał Szulkin

REDAKCJA i ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. ORDYNACKA 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K O. 26.630.
REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalnie — zł. 3.— Numer pojedyńczy 50 gr.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.
REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC 4058 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3.